

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie Rs. 7 kop. —
Półrocznie „ 3 „ 50
Kwartalnie „ 1 „ 75
Miesięcznie „ — „ 60

Za odnośnienie do domu
dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
mery bez dodatku k. 20.

GŁOS

Prenumerata na Prowincji
i w Cesarstwie:
Rocznie Rs. 9 kop. —
Półrocznie „ 4 „ 50
Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:
Rocznie 12 guld. — 18 m.
Półrocznie 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
tor Redakcyi po kop. 10 za
wiersz petitowy lub za je-
go miejsce. Reklamy po
kop. 25.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
zeszyt dzieł naukowych.

TREŚĆ: Komunikat.

Ważna zmiana, przez J. P.

Nasz przemysł w porównaniu z przemysłem w Rosyi,
przez S. G.

Przemysł domowy w Niemczech, przez J. Książca.

Współzawodnictwo i współdziałanie, przez J. K. Po-
tokiego.

Kronika przyrodnicza, przez Wł. K.

Kartka z dziejów emancypacji kobiet, przez W. Kar.

Głosy: Taksa aptekarska. — W kwestyi szkół rzemieślni-
czych. — Polemika „Kraju“.

Korespondencyja: z Poniewieża, przez J. W.

Przegląd społeczny: Siedlce, Tomaszów Rawski, Z nad
Pilicy, Konin, Łódź, Wilno, Mińsk gub., Kijów, Kraków.

Przegląd polityczny.

Kronika powszechna.

Odpowiedzi od redakcyi.

Ogłoszenia.

Odcinek: Angielka, kartka z podróży, przez C. Walewską.

(Ciąg dalszy).

W dodatku: Z zakutego grodu, przez Kazimierza Gli-
skiego. (Ciąg dalszy).

Warszawskij Dniownik ogłasza następujący
komunikat:

„Zapowiedziany przez zalewające Królestwo
Polskie proklamacyje dzień 21 kwietnia, a
według nowego stylu 3-go maja, do upamięt-
nienia którego szczególnymi demonstracyjami
na pamiątkę stułetniej rocznicy Konstytucyi
3 maja ludność wzywano, nie przedstawiał w
mieście Warszawie wczesnym rankiem nic
niezwykłego ze strony ludności polskiej. Dzień
ten niedzielny, który zbiegł się z pierwszym
dniem Wielkanocy prawosławnej, niczem się
nie odznaczał w porównaniu z innymi świętami
polskimi.

„Od godziny 10 rano miasto zaczęło przy-
bierać swój zwykły charakter. Przez agen-
tów stało się wiadomem, że demonstracyję ma-
ją rozpocząć studenci Warszawskiego Uniwer-
sytetu w kościele św. Jana.

„Okolo godz. 11 rano zaczęli się oni rze-
czywiście zbierać tam, wchodząc do kościoła
po dwóch lub trzech i ustawiając się w 3-
ch punktach pomiędzy publicznością. W przy-
bliżeniu zebrało się ich w kościele okolo 70,
a w tej liczbie byli także wychowañcy War-
szawskiego Instytutu Weterynaryjnego.

„Taż sama, w przybliżeniu, liczba studentów
zebrała się w kościele Panny Maryi, znajdu-
jącym się obok kościoła św. Jana.

„Po skończonem nabożeństwie, wychodząc
tak samo po dwóch lub trzech, studenci ci
udali się przez Krakowskie Przedmieście, No-
wy świat i Aleje Ujazdowskie do Ogrodu Botanicz-
nego, mieszając się z publicznością, wychodzą-
cą z kościołów. O tejże porze z ulicy Pięk-
nej, Wilczej i Instytutowej, przylegających do
Alej Ujazdowskiej, zaczęli się ukazywać w
większej jeszcze liczbie studenci Uniwersytetu
i wychowañcy Instytutu weterynaryjnego,
którzy zmierzali także niewielkimi grupa-
mi do Ogrodu Botanicznego.

„Do ogrodu wchodzili grupami, najwyżej po
pięciu i kilkakrotnie, w milczeniu, z odkryte-
mi głowami obesli znajdujące się w koncu

ogrodu ruiny kaplicy, której budowa była, we-
dług podań miejscowych, współczesną z Kon-
stytucyją 3 maja 1791 r. Do studentów przy-
łączyło się wówczas trochę starszych uczniów
gimnazjum, oraz dam, znajdujących się w
ogrodzie, które na stopniach ruiny kładły bu-
kieciki.

„Następnie wszyscy rozdzielili się na par-
tyje i po krótkiej przechadzce po ogrodzie
udali się Aleją Ujazdowską do miasta, gdzie
od placu św. Aleksandra rozeszli się w różne
strony.

„Okolo godz. 5 po południu ukazały się zno-
wu w Alei Ujazdowskiej, wśród tłumu space-
rującej publiczności, grupy studentów. Wcho-
dzili oni do Ogrodu Botanicznego i wychodząc
partyjami, mieszały się z publicznością. Do
grup tych stopniowo przyłączały się osoby
prywatne, starsi uczniowie innych zakładów i
damy.

„W Ogrodzie Botanicznym zaczęto zno-
wu partyjami obchodzić owe ruiny, odkryw-
jąc głowę, a damy kładły bukieciki. Miejsco-
wy pomocnik komisarza policyi wzywał do
rozejścia się, lecz partyje chodziły dalej na-
okolo ruin i dopiero po przybyciu p. o. ober-
policmajstra i po usilnych jego przestro-
gach, zaczęto się rozchodzić, idąc przez Aleje U-
jazdowskie ku placowi św. Aleksandra. Po dro-
dze czytano jakieś litografowane notatki, poda-
jąc je jedni drugim, a po rozejściu się tłumu, na-
przeciw ruin, na ławce ukazał się napis czer-
wonym ołówkiem: „Konstytucyja i rewolucyja“, zaś
między kwiatami, złożonymi na stopniach ka-
plicy, metaliczne listki wawrzynu od czapek
uczniów gimnazjum.

„Od placu św. Aleksandra tłum studentów,
w liczbie najmniej 100, udał się przez Nowy
Świat i Krakowskie Przedmieście, w towarzy-
stwie masy publiczności, na plac Zamkowy, z
widocznym zamiarem dostania się do kościoła
katedralnego św. Jana. Na placu Zamkowym
ober-policmajster wezwał znowu do rozejścia
się i równocześnie—ze względu że się zaczęło
ściemniać—wezvano sotnię kozaków. Tym-
czasem tłum udał się przez plac Teatralny do
Ogrodu Saskiego, a w chwili ukazania się ko-
zaków, rozbiegł się, znaczna jednak część
schroniła się do Ogrodu Saskiego, gdzie are-
sztowano 32 osób, co do których prowadzi się
śledztwo administracyjne“.

Do powyższego komunikatu redakcyja War-
szawskiego Dniownika dołącza następujące uwa-
gi własne:

„Wyżej przytoczony komunikat jasno i do-
kładnie zaznaja nam, co się odbyło w
pierwszy dzień naszych świąt Wielkanocnych
w Warszawie. Pogłoski o demonstracyjach,
przygotowanych przez Polaków na ten dzień,
jako rocznicę Konstytucyi 3 maja 1791 roku,
sprawdziły się tylko w tych rozmiarach, jakie
zaznacza powyższe wyjaśnienie, wykazujące,
co zrobiła garstka młodzieży, korzystająca,
być może z pięknej pogody dla swojego wy-
bryku. Wybryk ten był raczej godny poża-
łowania, aniżeli smutny, gdyż miał charakter,
że się tak wyrazimy, młodo-sentymentalny i

dowiodł tylko, że z niewiadomego źródła pły-
nące, a niemądre podszepty, mogą w Warsza-
wie znaleźć naiwnych i posusznych wykonaw-
ców. Dowiodł on także, że w naszym kraju
możliwym jeszcze jest niegodne zdrowo my-
ślących ludzi lekceważenie istniejących wa-
runków spokojnego życia. Jeśli szerzyciele
proklamacyj, wzywający do uroczystego obcho-
dzenia d. 3 maja, mieli zamiar wypróbować,
czy są jeszcze w Warszawie pierwiastki, go-
towe do niebezpiecznych wybryków i psot,—to
nie ulega wątpliwości, że cel swój osiągnęli.
Ale owi przyjaciele narodu polskiego zapom-
nieli, że wystawiają na niebezpieczeństwo
nie tylko psotników, ale każdego, kto pociąg-
nięty ich przykładem, pójdzie za tymi psot-
nikami. Nie ma potrzeby dodawać, że po-
wtórzenie podobnych naiwno-śmiesznych de-
monstracyjnych spacerów doprowadzi w kon-
cu do przedsięwzięcia takich środków, które
w jednej chwili zmuszą uczestników różnych
demonstracyj do rozmyślań na chłodno nad
swojem położeniem. Nie ulega wątpliwości, że
śledztwo, przeprowadzone w tej sprawie i do-
konane arestowania, wykryją istotnych ini-
cyjatorów demonstracyj i zakłócieli porządku
miejscowego“.

WAŻNA ZMIANA.

Postanowienie rządowe, którego tekst przy-
toczyliśmy w ostatnim numerze *Głosu* — po-
zwalające general-gubernatorowi warszaw-
skiemu zwalniać pewną kategorię wychodź-
ców od opłaty za paszporty emigracyjne,
zapowiada zmianę dotychczasowych poglą-
dów na sprawę wychodźstwa. Ulga, doty-
czy, rozumie się, tylko tych osób, którym
opuszczenie kraju zostało przez władze do-
zwolonem i nosi charakter czasowy. Nie jest
więc postanowienie to uprawnieniem emigra-
cyi, ale próbą jej uregulowania. Wątpimy,
czy usunie to emigracyję tajemną, jak spo-
dziewa się *Nowoje Wremia*, bo tam nawet,
gdzie emigracyja jest prawnie uznaną, by-
wają zawsze wypadki nielegalnego wychodź-
stwa osób, unikających kary lub obowiązku
służby wojskowej. Ale można mieć prawie
pewność, że ustanie wychodźstwo gorączko-
we, masowe, jakiego niedawno byliśmy na-
ocznymi świadkami.

Jawne uznanie faktu, że emigracyja pew-
nej kategorii ludności jest objawem koniecz-
nym, pozwala z większą energiją i z lepszym
skutkiem przeciwdziałać wychodźstwu tych,
którzy bez żadnych poważnych powodów,
pod wpływem namowy agentów lub naśl-
downictwa pragną kraj opuścić. Pozwolenie
starania się o paszporty emigracyjne, ułat-

wia miejscowym organom władzy przeciwdziałanie wychodztwu gorączkowemu, daje sposobność tłumaczenia pragnącym kraj opuścić losu, jaki ich czeka za morzem. Wreszcie starania o paszport wymagają zawsze pewnego czasu, emigrant więc nie zrywa się nagle, nie marnuje za bezcen chudoby, którą teraz tajemnie różnym wyzyskiwaczom sprzedaje, może się namyślać i rozmyślać. Dodać trzeba, że w wielu wypadkach pozwolenie wzięcia paszportu emigracyjnego działać nawet będzie powściągająco. Zazwyczaj wychodzący nasi opuszczają kraj z myślą powrotu, jak tylko się „dorobią”, nowe prawo zaś każdemu z takich mówi: możesz, jeśli chcesz, opuścić kraj, ale przestajesz być jego obywatelem, tracisz prawa, przysługujące jego mieszkańcom, w razie powrotu uważany będziesz za cudzoziemca. Chłop, który jedzie do Ameryki z myślą, że kiedy dorobi się tam grosza, wróci, aby kupić sobie w kraju grunt, dowie się, że, wzięwszy paszport emigracyjny, prawo nabywania ziemi straci.

Nie jeden z takich albo cofnie się, albo poprosi o zwyczajny paszport zagraniczny roczny, co da możliwość ściślejszego kontrolowania wychodztwa.

Nie trzeba również zapominać, że ulgi, jakich udziela nowe prawo nie znoszą wcale dotychczasowych środków przeciwdziałania emigracji nielegalnej. W żadnym razie nie jest ono ułatwieniem wychodztwa, ale, jak powiedzieliśmy, próbą ograniczenia tego objawu do pewnej normy.

Wiele podobieństwa z przebiegiem sprawy emigracyjnej przedstawia sprawa przesiedleń w obrębie państwa. Przed 10 laty mniej więcej rozwinął się znaczny ruch przesiedleńczy z gubernij centralnych Rosji na kresy wschodnie, zwłaszcza do Syberii. Ruch ten miał również charakter gorączkowy, włościanie szli nieraz całymi wsiami, powtarzali rozmaite baśnie, wyprzedawali za bezcen dobytek.

Wielu z takich emigrantów zmarniało w drodze, wielu powróciło na powrót — ruch jednak

nie ustawał, chociaż władze energicznie mu przeciwdziały. Po kilku latach przekonano się wreszcie, że przesiedlenia się włościan mają poważne przyczyny ekonomiczne i postanowiono prąd ten uregulować. Wydane zostały postanowienia, zezwalające w pewnych wypadkach na przesiedlanie się, ale pod ścisłą kontrolą władz miejscowych. W rezultacie okazało się, że przesiedlenia już od lat kilku straciły charakter masowy i odbywają się teraz mniej lub więcej prawidłowo. Przesiedleńcy nie idą na oślep, nie rujnują się gorączkowo, sprzedają swą chudobę. Obecnie są już nawet specjaliści urzędnicy, którzy sprawą tą kierują, a niedawno nawet założone zostało Towarzystwo opieki nad przesiedleńcami i rozwija szeroko swą działalność.

Zdaje się, że to samo, rozumie się z pewnością zmianami, powtórzy się w sprawie emigracji zamorskiej. Uprawnienie jej w pewnych wypadkach pozwoli ten ruch bezładny jako tako przynajmniej uporządkować. Przyszli emigranci, wiedząc o tem, że mogą kraj legalnie za pozwoleniem władzy opuścić, nie będą się zbyt spieszyć, ani zamiarów swych ukrywać, zechcą zasięgnąć dokładniejszych informacji i łatwiej usłuchają rad i wskazówek. Emigracja przestaje być owocem bezwzględnie zakazanym, wyjdzie wreszcie na światło dzienne, poddana będzie jawnej krytyce, straci urok tajemniczości. Dzisiaj każdy kandydat na wychodzącą boi się nawet rozpytywać szczegółowo o warunki życia w krajach zamorskich, z chwilą kiedy otrzyma możliwość legalnego wyjazdu, obawy tej stopniowo się pozbędzie. Dokładne zaś wiadomości o warunkach życia w Ameryce najskuteczniej przeciwdziałają mogą nieogłędnemu zrywaniu się do wędrówki za morze.

Niektóre dzienniki ruskie przypuszczają, że nowe prawo ma przede wszystkim na względzie żydów, których emigracji rząd żadnych szczególnych przeszkód stawiać nie chce. O ile nam wiadomo, ulgi stosowane będą nie tylko do żydów, ale nawet w tym wypadku, gdyby

nowe prawo miało na celu jedynie ułatwienie emigracji żydowskiej, doniosłość jego byłaby wielką, a wpływ korzystnym. Przedsięwzięcie środków, mających na celu zmniejszenie procentu ludności żydowskiej w tych prowincjach państwa, gdzie prawnie mieszkać mogą, wobec ścisłego przestrzegania, ażeby po za t. zw. „granicę osiadłości” nie wychodzili — jest koniecznym. Gdyby jednak tylko lub nawet przeważnie o emigrację żydów chodziło, to nowe prawo musiałoby być zastosowaniem i w guberniach zachodnich, gdzie stosunkowo więcej ludności żydowskiej, aniżeli w Królestwie. J. P.

Nasz przemysł

w porównaniu z przemysłem w Rosji.

Przy badaniu objawów społecznych nadzwyczaj trudno jest zachować zupełny obiektywizm. Zwykle widzimy to, co chcielibyśmy widzieć. Jedną z wielu ilustracyj tej prawdy jest panujące u nas zapatrywanie się na ekonomiczne siły naszego kraju, i co zatem idzie, na przyszłość przemysłu polskiego. Zarówno obrońcy interesów wielkiego kapitału, jak i zwolennicy systemu współdzielczego, hołdujący ciasno pojmanemu materjalistycznemu pogładowi na dzieje, pragną gorąco widzieć u nas rozwój kapitalizmu. Zapewniają też oni nas, że marzenia się ich ziszczą, pokładając nadzieje na rynki ruskie i azyjatyckie, które mają jakoby pochłonąć wytwory wzrastającej wciąż produkcji Królestwa. Konkurencja ze strony przemysłu ruskiego ich nie zastrasza. Na wszelkie wątpliwości co do tego, czy przemysł Cesarstwa nie wyruguje ze swych rynków towarów naszych, mają oni gotową odpowiedź. Przemysł polski, chociaż później zaczął się rozwijać, aniżeli ruski, jednakowoż zagarnął znaczne rynki ruskie: prawie połowa produkcji Królestwa bywa przeznaczana dla Cesarstwa. Warto byłoby jednakże zobaczyć, jakie to przyczyny spowodowały owe zwycięstwo przemysłu polskiego: Czy było ono spowodowane lepszymi warunkami ekonomicznymi i jako takie jest stałe, czy też nastąpiło z przyczyn charakteru prawne-

ctwem morza, strojąc się w konchy muszli, w dyjademy z pereł i wodnych porostów. Naraz — zaczęło jej być smutno. Dalekiem echem wspomnień odezwała się w sercu jej tęsknota za straconym ziemskim kochankiem.

„Na promieniu słońca Pudyna podniosła się nad powierzchnią oceanu i opuściła ku ziemi. Szeptem liści, które szmerzą cichą modlitwą, gdy je wiatr kołysze, wezwała do siebie kochanka. Siostry jej, nimfy wodne i Oceania, otoczyły go kołem „Białe łabędzie”, nadpłynęły, wioząc wóz z konchy muszli. Zastuchany w śpiewy nimf, zapatrzony w skrzydła białych łabędzi, młody książę zsunął się z ziemi w przepaść oceanu i nie wrócił już nigdy.

Kochał Pudynę. Wieki minęły, a on nie porzucił jej, nie porzucił koralowego pałacu jej ojca ze sklepieniem z mchów i wodnych porostów”...

Helena opowiadała powolnym, słabo modulowanym głosem. Skończywszy legendę, pochylała się nad twarzą Jenny, ukrytą w poduszkach. Pogłaskawszy jej włosy i pocałowałszy czoło, odezwała się:

— Moja panienska też jeszcze kiedyś musi znaleźć swego królewicza; tak być nie może, żeby całe życie miała przepłakać, kiedy młoda, ładna i świat ma przed sobą.

ANGIELKA

KARTKA Z PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

Któregoś dnia, wróciwszy do pokoju swego z ogrodu, w którym brzęczały komary i drobne chrząszcze, cykały polne koniki, trzepotały skrzydłami jaskółki, a niebo na kielichy róż i główki konwalii rzucało barwy topazów i seledynu, — uczuła taki żal, że, rzucając się na łóżko, zaczęła łkać głośno. Długo nie mogła uspokoić się. Gdy przestała płakać, leżąc na łóżku z otwartymi oczyma, pytała sama siebie:

— Co warte moje życie?

Opanowała ją niechęć do wszystkiego. Zamknawszy się napowrót w swoim pokoju, wpadła w rodzaj odrętwienia: nie miała ochoty czytać, przestała rysować. Całymi godzinami, leżąc na kanapie lub siedząc w fotelu, patrzyła w jeden punkt, od którego nie odrywała wzroku.

Lato ciągnęło się długo z tą jednostajnością dni, która życiu nadaje cechę nieprzerwanej drzemki. Próżno mister Price namawiał Jenny, aby wyjechała z nim na południe: odtrącała życzenie ojca uparciem. Sama

myśl o nowych widokach i nowych ludziach, jakich mogła spotkać w podróży, sprawiała jej zawrót głowy, który ją męczył. Wolała być w domu z Heleną, która pieściła ją, jak dziecko. Wieczorami, gdy nie mogła zasnąć, opowiadała jej bajki, jak za dawnych czasów, kiedy Jenny, będąc małą dziewczynką, na kolanach jej siedziała, wsłuchana w powolne, miarowe brzmienie jej słów.

Głos Heleny dziwnie ją uspakajał. Zasnęła, sama nie wiedząc, kiedy, w czasie jej opowiadań.

Wiosna i lato minęły; jesień zbliżała się ku końcowi. Któregoś wieczora Jenny, czując, że zaśnie nieprędko, wezwała do siebie Helenę.

— Opowiedz mi co — rzekła do niej.

Ulubioną bajką Heleny była legenda o wodnej Pudynie, zaklętej w postać ziemskiej dziewczyny.

„Pudyna, córka króla oceanu, znaleziona jako dziecko nad brzegiem wyspy przez biednego rybaka, wychowując się w chacie jego, dorósłszy, poznała przypadkiem młodego księcia, którego pokochała. Zła, zawzięta kobieta wydarła jej kochanka. Straciwszy go, Pudyna zapadła się w przepaść oceanu, porwana przez nimfy wodne i Oceanię.

Długo żyła spokojnie w koralowych pałacach swego ojca, ciesząc się boga-

go, które wskutek swej zmienności nie mogą gwarantować dalszej przewagi przemysłu Królestwa nad ruskim.

Zwróćmy się do historii, a ona da nam odpowiedź. Pierwsze początki przemysłu fabrycznego polskiego spostrzegamy dopiero za czasów Księstwa Warszawskiego¹⁾. Rząd, starając się rozwinąć przemysł krajowy, nadawał znaczne przywileje rzemieślnikom, przybywającym do Księstwa z państw ościennych.

Aleksander I po roku 1815 potwierdził te przywileje, co też spowodowało liczną imigrację do Królestwa rzemieślników i kapitalistów niemieckich, obiecujących sobie ciągnąć znaczne zyski z kraju, w którym nie mogli się spotkać z konkurencją z żadnej strony. Nie mało się też przyczyniła do rozkwitu przemysłu w Królestwie polityka celna Rosyi. Cła pobierane na granicy polsko-pruskiej były znacznie mniejsze, niżli na innych granicach państwa ruskiego. Prócz tego cła na granicy polsko-ruskiej były mniejsze dla wyrobów polskich niż ruskich, tak np. polskie wyroby wełniane opłacały cła 1% swej wartości, ruskie zaś 15%. Dzięki temu niemieccy fabrykanci chętnie przesiedlali się do Królestwa, dokąd sprowadzali sobie tanio z Vaterland'u niezbędne maszyny i środki produkcji i skąd posyłałi do Rosyi, nieopłacając prawie wcale cła, za swe wytwory. Oczywiście w takich warunkach ruscy przemysłowcy nie mogli prowadzić skutecznie walki konkurencyjnej z kapitalistami niemieckimi, korzystającymi ze wszystkich zdobyczy tegoczesnej zachodnio-europejskiej technicznej wiedzy, nieznaney jeszcze w Rosyi. To też wywóz polskich towarów do Rosyi zwiększał się wciąż. W 1823 r. wynosił on 2,659 tysięcy rubli w 1825 — 5,202 tysięcy rs., w 1827 — 8,179 t. rs., w 1829—9,886 t. rs. Lecz błogie te czasy dla przemysłu polskiego trwały nie długo. W roku 1832 zatwierdzoną została nowa taryfa celna. Cła na wszystkie wyroby polskie były podwyższone do normy, opłacanej przez ruskie. Spowodowało to szybki upadek przemysłu polskiego. Nie wiele nawet pomogła energiczna działalność Banku Polskiego. Pomimo wydawanych przez niego zapomóg, pomimo tego, że brał on w administrację i nawet kupował zakłady przemysłowe, nie mogące się utrzymać o własnych siłach, jak np. terażniejszą fabrykę „Lilpopa i Rau”, „Żyrardów”, wielki młyn parowy na Solcu, stano-

¹⁾ Historyczne dane co do przemysłu naszego—poddług Janzula.

Jenny zasnęła na chwilę przed końcem opowiadania.

Zbudzona nagle zmienionym tonem słów Heleny, poruszyła się i, otworzywszy oczy, spytała:

— Co mówisz?

— Moja panienska młoda i ładna; świat ma przed sobą: nie powinna płakać całe życie.

Jenny spojrzała na nią.

— Dlaczego ona mi to mówi?—pomyślała. — Czy naprawdę jestem jeszcze ładna? Czy naprawdę świat nie powinien zamknąć się dla mnie?—Dlaczego ona mi to mówi?

Chwilę leżała, milcząc, z oczyma utkwionemi w świetlny krąg płonącej lampy, odbity na suficie. Naraz, zwróciwszy się ku Helenie, rzekła:

— Odejdź; zostaw mię samą; już będę spała...

Helena wyszła. Zaledwie zamknęła drzwi za sobą, Jenny podniosła się z łóżka i na palcach ze świecą w ręku podeszła do dużej zwierciadlanej szafy, wstawionej w róg pokoju.

Ogarnęła ją dziwna chęć przyjrzenia się sobie.

— Tak dawno już, tak dawno nie widziałam siebie!—myślała.

Snop światła padł na odsłonięte jej białe czoło, na włosy, ciemną falą wijące się do-

wiały teraz własność Blocha, „Hutę Bankową”, produkcja w Królestwie, w szczególności zaś wywóz do Rosyi wciąż się zmniejszał.

W 1834 r. wywieziono do Rosyi towarów na sumę 2,887 tys. rs.

W 1835—wywieziono do Rosyi towarów na sumę 2,544 tys. rs.

W 1836—wywieziono do Rosyi towarów na sumę 2,471 tys. rs.

W 1837—wywieziono do Rosyi towarów na sumę 3,135 tys. rs.

W 1838—wywieziono do Rosyi towarów na sumę 2,568 tys. rs.

W 1839—wywieziono do Rosyi towarów na sumę 2,629 tys. rs.

W 1840—wywieziono do Rosyi towarów na sumę 857 tys. rs.

W 1841—wywieziono do Rosyi towarów na sumę 819 tys. rs.

W 1850—wywieziono do Rosyi towarów na sumę 1,274 tys. rs.

W liczbie tych wywieziono do Rosyi wyrobów sukiennych:

W 1834—na sumę 2,385 t. rs.

W 1835—na sumę 1,285 t. rs.

W 1836—na sumę 1,306 t. rs.

W 1837—na sumę 1,466 t. rs.

W 1838—na sumę 1,542 t. rs.

W 1839—na sumę 1,686 t. rs.

W 1840—na sumę 561 t. rs.

W 1841—na sumę 582 t. rs.

W 1850—na sumę 755 t. rs.

Produkcja Królestwa w tym okresie zmniejszyła się tak znacznie, że gdy w 1829 r. sam przemysł tkacki dostarczył wytworów na sumę 5,720 tys. rs., cała produkcja 1850 r. wyrażała się w sumie 6 mil. rub. Od 50 r. zaczynała się znowu dla przemysłu polskiego lepsze czasy. W tym bowiem roku została ogłoszona nowa taryfa celna, według której cła zostały znacznie podwyższone, jednakowoż na granicach lądowych, przeważnie zaś na granicy polsko-niemieckiej były one znacznie mniejsze niż na morskich. Dodało to nowych sił słabnącemu przemysłowi polskiemu. Droga do Rosyi została zagrodzona dla wyrobów niemieckich. Jeśli kapitaliści zagraniczni nie chcieli stracić rynków ruskich, musieli przenieść się do państwa ruskiego. Oczywiście najdogodniejszym punktem dla nich było Królestwo. Bliżkość kraju rodzinnego, skąd mogli oni sprowadzać niezbędne dla siebie narzędzia i materiały surowe, opłacając mniejsze cło niż gdyby osiedlili się w Petersburgu lub Moskwie, koleje, idące od granicy zachodniej do centrów państwa ruskiego, zresztą liczne,

koła szyi, na drobne, dwoma blade-różowemi łukami zarysowane wargi, na oczy duże, głęboko osadzone, podkrążone dwiema sinemi obwódkami, na które padał cień długich czarnych rzęs.

Była młoda i ładna...

— Dlaczego życie moje takie liche, nędzne, marne?—zapytała sama siebie, odchodząc od lustra.

Zgasiwszy świecę, położyła się napowrót. Zасыpiając, myślała o wirze zabaw i kaledoskopie wrażeń towarzyskich, z których wycofała się dobrowolnie.

Usnęła wśród chaosu dawnych wspomnień. Gdy nazajutrz obudziła się nad ranem, czuła się dziwnie podnieconą snem, jaki miała w nocy. Pamiętała go dobrze. Wśród dużej sali, zalanej potopem światła, tańczyła, zawieszona na ramieniu mężczyzny, którego twarzy nie widziała, a który podtrzymywał ją silnem objęciem. Grupy ludzi, przesuujących się dokoła niej, ściany i sufit salonu wirowały w jej oczach, a ona tańczyła z tem upojeniem, jakie daje szal wrażeń. Dźwięki walca dolatywały jej uszu, słyszała je wyraźnie; odurzały ją, jak opijum.

Tak dobrze, tak dobrze było jej w tańcu! Wstała pośpieszniej, niż zwykle. Podczas ubierania się myślała:

Dlaczego nieraz własnowolnie usuwamy przed sobą to, co nas rozerwać i rozweselić

już wpięrow założone fabryki niemców, wszystkie te warunki skłaniały przedsiębiorców niemieckich do oddania pierwszeństwa Królestwu przed Cesarstwem. To też kapitały zagraniczne coraz liczniej napływają do Królestwa, i tu też wpięrow pojawia się maszynowa produkcja niżli w Rosyi, co zapewnia Królestwu przewagę ekonomiczną na długi szereg lat na rynkach ruskich.

Produkcja w Królestwie wzrasta wciąż: w 1866 r. wyrażała się sumą 52,720,851 rs., w 1869—39,655,494, w 1870 r. 61,869,140, w 1871—64,669,223, w 1872 — 73,451,319, w 1873 — 84,715,767²⁾; przytem wzrasta znacznie szybko, niżli w Rosyi.

Procentowy stosunek produkcji w 1879 r. względnie do r. 1867%.

	Królestwo	Rosya
Przędzalnie bawełny	585%	239
fabryki tkackie	431	183
przędzalnie wełny	678	227
fabryki wyrobów sukiennych	250	141
fabryka sukiennych tkanin	397	174
farbiarnie i drukarnie bawełny	3,733	190

Z tego choć pobieżnego rzutu oka wstecz widzimy, że przemysł polski wzrastał i upadał zależnie od zmian taryfy celnej. Zwycięstwa jego na rynkach Cesarstwa spowodowane były nie lepszymi warunkami wytwórczości, lecz przywilejem charakteru prawnego.

Widzimy więc, że historia nie daje nam prawa spodziewać się świetnej przyszłości dla przemysłu naszego. Jego dawniejsze zwycięstwa nad ruskim przemysłem, jako spowodowane czynnikami, z charakteru swego przemijającymi, nie dowodzą dalszej jego przewagi. Żeby odpowiedzieć na pytanie: czy polski przemysł może liczyć na zbyt w Cesarstwie i Azji, musimy poznać i porównać warunki ekonomiczne, w których znajduje się przemysł Królestwa i Cesarstwa i przytem warunki stałe, nie przemijające; na zasadziatach tylko bowiem danych możemy sądzić o przyszłości ekonomicznej kraju. Ten kraj, który może sprzedawać taniej swe wytwory, w którym przeto koszt wytworzenia i obrotu są mniejsze, zwycięża w walce konkurencyjnej. Zobaczymy więc naprzód, kto może wytwarzać taniej: Królestwo czy Cesarstwo? Głównymi czynnikami produkcji są: natura,

²⁾ Załęski.

może w życiu? Dlaczego poddajemy się rozpaczcy wówczas, gdy siły i młodość każą nam jeszcze marzyć o szczęściu?

Tego dnia poprosiła ojca, by złożył z nią kilka popołudniowych wizyt u znajomych, których rok cały nie odwiedzała. Nazajutrz przyjmowała wizyty u siebie; w tydzień później ułożyła program balu kostyumowego, którym postanowiła zrobić ojcu niespodziankę w nadchodzącą rocznicę jego urodzin.

Na parę dni przed balem pisała w grubej, biało oprawnej książce, stanowiącej pamiętnik, w którym lubiła niekiedy notować myśli swoje:

„Tak mi dobrze, taka jestem swobodna, lekka! Świat lubi odradzać się! Ja doznaję wrażenia ptaka, któremu dano skrzydła do lotu. Myśli moje wirują jak rozbawione, białe motyle. Tak mi dobrze, tak dobrze! Dlaczego płakać dlaczego smucić się, kiedy życie krótkie, a szczęście, jak rozśpiewana jaskółka, krąży tuż nad głowami naszymi i da uchwycić się odważną, śmiałą ręką?”

W dzień balu, ubrana w kostjum z piór białych, niespokojnie gorączkowo wyczekiwała pierwszych gości. Gdy zaczęli schodzić się, witała wszystkich uśmiechem. Szereg głów, pochylonych przed nią ukłonem, przypomniat jej kłosa zboża w polu, pędzone ku ziemi podmuchem wiatru. Śmiejąc się w my-

praca i kapitał. O ile więcej pewien kraj posiada bogactw naturalnych, o ile taniej może je otrzymać, o tyle taniej może on wytwarzać. Zarówno tym silniejszym jest on w walce konkurencyjnej, im siła robocza jest tańsza i im więcej są skoncentrowane kapitały. Cóż się okaże z porównania warunków naturalnych. Najważniejszymi materiałami surowymi są bezwarunkowo: węgiel, żelazo i bawełna. Pierwszy, jako niezbędny dla wszelkiej produkcji, materiał pomocniczy, dwa drugie, jako materiały przerabiane przez najważniejsze gałęzi produkcji w każdym kraju. Produkcja tkanin bawełnianych w Królestwie wynosi prawie 30 proc. produkcji krajowej. Co do węgla, to Królestwo i Cesarstwo znajdują się w jednakowych prawie warunkach. Co prawda polscy fabrykanci korzystają z węgla krajowego, którego nie mają fabrykanci moskiewscy i petersburscy, jednakowoż zauważywszy, że wiele fabryk ruskich używa jako paliwa torfu i drzewa, tańszego tam od węgla, że i polscy przemysłowcy sprowadzają węgiel zagraniczny (w 1887 r.—12,289,008 pud.³⁾ przewaga ta sprowadza się prawie do zera. Tymczasem żelazo znacznie jest tańsze w Cesarstwie. Żelazo uralskie jest bodaj najlepszym w Europie. Ruda krzyworska zawiera w sobie 65% żelaza, tymczasem sosnowicka 30 do 35%. Wobec tego kosztu produkcji żelaza znacznie są mniejsze nad Dnieprem niż w Sosnowicach. Wytworzenie puda żelaza kosztuje: ruda 13 kop.+koks 27,4 k.+wapień 1 k. płaca zarobna 7 kop.=48,4 kop.; sosnowickiego zaś żelaza: ruda 15 kop.+koks (sprowadzamy ze Szlązka) 36 kop.+wapień 0,5+placa robocza 6 kop.—57,5 k. Koszta więc produkcji puda żelaza w Krzywym Rogu są mniejsze o 9,1 kop.⁴⁾ niżli w Sosnowicach.

To samo wypada nam powiedzieć i o bawełnie. Fabrykanci ruscy otrzymują ją znacznie taniej, niż polscy. Dostarcza jej teraz przeważnie Egipt, Ameryka i Indyje w cenie 11 rubli za pud. Ruscy przemysłowcy sprowadzają ją przez Rewel i Ryge, płacąc za transport po 35 kop. od puda; tymczasem polscy muszą sprowadzać ją przez Gdańsk, przyczem transport kosztuje ich 37 kop. W ostatnich jednak latach położenie polskiego przemysłu bawełnianego stało się jeszcze więcej krytycznym. Mianowicie fabrykanci ruscy zaczęli spro-

³⁾ Sprawozdania komisji celnej.

⁴⁾ Przegląd techniczny r. 1889.

śli z tego porównania, niecierpliwym wzrokiem wodziła po wszystkich.

— Tańczmy już! — wołała, gdy salon wypełnił się po brzegi grupami pań i panów.

Pierwszy walc wprowadził ją w ekstazę. Oduńczona wirowym ruchem, ogłuszona melodyją dźwięków, pijana dziwną wibracją uczuć, podnoszących jej piersi, przerzuciła się z jednych objęć w drugie. Potop światła, ściany, sufit i posadzka salonu, postacie par tańczących migły we wzroku jej, jak jedno wielkie koło kalejdoskopu, wprowadzonego w ruch obrotowy.

Kilka razy ojciec podchodził do niej, mówiąc:

— Jenny, tyś zmęczona; odpocznij trochę!

Nie słyszała go. Tańczyła, nie odpoczywając. Gdy goście zaczęli rozchodzić się nad ranem, uczuła fizyczne zmęczenie, z którym było jej dobrze: wiedziała, że rzuciwszy się na łóżko, zaśnie mocno i odrazu, prześpi dzień i noc całą, jak jedną godzinę!

Po balu kostjumowym u siebie przyjęła zaproszenie na kilka innych zabaw. Za każdym razem tańiec wprowadził ją w rodzaj szalu, z którego nie mogła oprzytomnieć przez parę dni następnych.

W przerwie między jednym bale a drugim pisała na kartkach grubej, w biały saffian oprawnej książki:

(D. c. n.)

wadzać bawełnę z Azji Środkowej. W 1887 r. przywieziono z Azji drogą zakaspijską 656,206 pud. bawełny za 4,342,679 rub.; w 1888 r.—1,054,955 pud. za 7,475,557 r.¹⁾ Bawełna ta, jako znacznie tańsza—(w 1889 r. na giełdzie moskiewskiej sprzedawano ją po 6 rub. 80 kop. do 9,40, tymczasem gdy inną po 10 rub. 15 kop.—14 rub. 50 kop.)²⁾, wyrugowywa coraz więcej amerykańską. Tymczasem przemysłowcy polscy znacznie drożej muszą za nią płacić. Koszta przewozu do Łodzi są o 50 kop. większe, niżli do Moskwy³⁾.

Widzimy więc już, że najważniejsze materiały surowe przemysłowcy ruscy mogą otrzymać znacznie taniej niż polscy. Nie dość tego, siła robocza jest też droższa w Królestwie. Intensywność pracy robotnika polskiego i ruskiego jest prawie jednakową. W okręgu moskiewskim w mechanicznych warsztatach tkackich tkacz pracuje przy dwóch wrzecionach, tak samo jak i u nas. W fabrykach bawełnianych 600 wrzecion obsługuje czterech ludzi, u nas zaś 700 wrzecion 5 robotników, 1,000 zaś 7. W jednakowym zatem przeciągu czasu robotnik polski odda fabrykantowi tyleż swej wartościowo-twórczej siły, co i robotnik ruski. Lecz ostatni pracuje więcej i przytem za mniejszą zapłatę. W okręgu moskiewskim czas roboczy trwa rocznie 3,572,5 godzin, w warszawskim 3,105⁴⁾.

Co do płacy robotnika, to przedstawia się ona w następujący sposób:

Podług Janzula w siedmiu głównych gałęziach przemysłu, równa się ona miesięcznie.

w Królestwie: w Cesarstwie:

Mężczyzna	20 r.	15,2 r.
Kobieta	15,3 "	8,8 "
Dziecka	8,8 "	5,5 "

Podług badań Światłowskiego:

Okręg warszawski: Okręg charkowski:

Mężczyzna	17 r.	12 $\frac{1}{2}$ r.
Kobieta	9 $\frac{1}{4}$ "	7 $\frac{1}{2}$ "
Dziecko	4 $\frac{1}{4}$ "	4 $\frac{1}{3}$ "

Zważywszy jeszcze, że w Cesarstwie stosunek procentowy zatrudnionych w fabrykach kobiet i dzieci jest znacznie większy niż u nas, że tam praca nocna jest znacznie częściej praktykowana, musimy zgodzić się na to, że robotnik jest znacznie tańszy w Cesarstwie niż w Polsce.

Zostaje nam jeszcze rozpatrzyć, gdzie są więcej skoncentrowane kapitały. Ma to bowiem bardzo ważne znaczenie, gdyż im kapitał jest bardziej skoncentrowany, tam wytwarza on taniej. Ponieważ zaś, jak tego należy się spodziewać, kapitały u nas nie będą wzrastały szybciej drogą napływową niż w Rosyi, przeto wzrost ich będzie odbywał przeważnie drogą reprodukcji na wyższą skalę i wielkość ich obecna wskazuje w znacznym stopniu na stosunek ich rozmiarów w przyszłości. Przytoczę wiązaną cyfr, które dadzą nam dostateczną odpowiedź. Średni obrót roczny zakładu przemysłowego wynosi w Królestwie 35,289 rs. w Cesarstwie 45,898 r.⁵⁾ Przedsiębiorstw przemysłowych z obrotem rocznym, przewyższającym milion rubli w gub. Petersburgskiej znajduje się 238, moskiewskiej 163, Chersońskiej 30, Nadbaltyckich prowincjach 22, gub. Ekaterynosławskiej—16, Włodzimierskiej 11, Kijowskiej — 10, charkowskiej — 8, w Królestwie 26¹⁰⁾, zdaje mi się, że cyfry te są dość wymowne.

Streszczając więc to, cośmy powiedzieli o kosztach produkcji w Królestwie i Cesarstwie dochodzimy do wniosku, że: 1) ruscy kapitaliści otrzymują taniej surowe materiały, 2) siła robocza w Rosyi jest znacznie tańsza niż u nas, 3) kapitały w Cesarstwie są więcej skoncentrowane, a zatem kosztu produkcji w Cesarstwie powinny być mniejsze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

S. G.

¹⁾ Sprawozdanie komisji celnej.

²⁾ Ibidem.

³⁾ Zaleski: „Widoki handlu z Rosyją „Athe-neum” r. 1890.

⁴⁾ Janzul: Odczyt.

⁵⁾ Ibidem.

¹⁰⁾ Ibidem.

Przemysł domowy w Niemczech.

(Dokończenie).

II.

Małe zarobki—oto główna przyczyna wszystkich dolegliwości, trapiących pracowników przemysłu domowego. Z nich to bowiem wypływa niezbędność długiej pracy, konieczność zaprzęgnięcia do roboty kobiet i dzieci i ograniczenia potrzeb, co wszystko razem wpływa na duchowe i fizyczne zwyrodnienie pracowników tej kategorii. Dla czego jednak zarobki w tej gałęzi pracy są małe? Wysokość wynagrodzenia zależy zawsze od dwóch przyczyn: 1) od wytwórczości pracy, 2) od stopnia jej niezależności. Pod tymi względami robotnicy, w przemyśle domowym zatrudnieni, znajdują się w warunkach niekorzystnych.

Praca w domach własnych uniemożliwia całkowicie niemal użycie maszyn i innych ulepszonych sposobów wytwarzania, ztąd też na ogół jest ona mniej produkcyjną, niż fabryczna. Łatwo zrozumieć, że wskutek tego tam, gdzie przemysł domowy i fabryczny wytwarzają przedmioty tego samego rodzaju, jednostka czasu roboczego w przemyśle domowym, jako mniej produkcyjna, cenę się musi taniej, niż w przemyśle fabrycznym. Pomimo kardynalnego znaczenia tej przyczyny, nie jest ona wystarczającą. Zarobki są bardzo niskie w tych nawet gałęziach przemysłu domowego, w których praca domowa nie jest technicznie od fabrycznej niższą (np. wyrób cygar), spotykamy wreszcie przykłady obniżania się zarobków przy podwyższeniu się cen wyrobów (np. w fabrykacji gryfów w Meiningu). W tych razach występuje z całą siłą druga ze wskazanych przez nas przyczyn.

Robotnicy „domowi” są w daleko wyższym stopniu bezsilnymi wobec przedsiębiorcy, niż ich fabryczni koledzy. W odległej okolicy, przez siebie zamieszkiwanej, trudno im znaleźć inną pracę, przenieść się zaś gdzieindziej nie jest w ogóle rzeczą tak łatwą, jak się to na pozór wydaje. Robotnika domowego przykuwa przytem do miejsca to niewielkie mienie, jakie posiada: własny domek, kawatek gruntu, trochę narzędzi i materiału surowego. Odsobnienie robotników domowych, ich rozrzucenie nieraz na wielkich przestrzeniach, a w każdym razie brak osobistego zetknięcia utrudnia im występowanie zbiorowe, tworzenie związków i t. p.

O ile niekorzystnym jest w walce o wynagrodzenie stanowisko robotnika w przemyśle domowym, o tyle korzystnym jest natomiast stanowisko przedsiębiorcy. Działa tu nawet brak osobistego zetknięcia z robotnikiem, wskutek czego znikają wszystkie względy, jakie gdzieindziej wpływać mogą na „zhumanizowanie” stosunku przedsiębiorcy do robotnika, a w tej liczbie i chęć popisania się przed światem troskliwością o swoich robotników. Najważniejszą jest jednak zupełna ekonomiczna niezależność przedsiębiorcy od robotników. Nie ma on kapitałów uwieczonych w tej produkcji, z łatwością więc zmienić może swój przemysł domowy na fabryczny, lub też przerzucić się do zupełnie innego przedsiębiorstwa, lub handlu. Tam, gdzie między dwie te warstwy robotników i przedsiębiorców wciśka się żywy pośrednik (faktorów), tam niezależność „chlebodawców” wzrasta jeszcze bardziej, a robotnicy tracą ze swych zarobków 10—20%, a czasem nawet 40% i więcej.

Zachowanie się, a tymbardziej dalszy rozwój przemysłu domowego w naszych czasach jest pewnego rodzaju anomaliją, rodzi się więc pytanie: jakim przyczynom zawdzięczamy to zjawisko. Dawni teoretycy mieli na to odpowiedź gotową. Ludność wiejska nie może użytkować w zupełności swych sił w rolnictwie, domowa praca przemysłowa staje się przeto niezbędnym jego uzupełnieniem. Jest to, zdaniem Sombarta, najzupełniej błędem. Wewnętrzny związek między rolnictwem a przemysłem domowym niema. Cały szereg zawodów domowych ma sezon pracy w czasie żniw (wyrób zabawek, tkactwo). W wielu wypadkach ludność, oddająca się przemysłowej pracy domowej, staje się wprost fizycznie do pracy na roli niezdatną, jak stwierdza to wielu autorów. Hr. Henckel powiada np., że

w czasie żniw właściciele ziemscy na Szląsku ofiarują wysokie wynagrodzenie (1½ marki dziennie), by tylko zyskać pomoc tkaczy, lecz nikt z tych ostatnich się nie zjawia. Tam znowu, gdzie ludność nie straciła jeszcze zdolności i chęci do pracy rolnej, od tej ostatniej, cierpi praca przemysłowa. Alzaccy fabrykanci uważają tkaczy z Weilerthalu za najgorszych, od pracy na roli grubieją im ręce, a przytem w czasie robót w polu nie można liczyć na ich akuratność w wykonywaniu robót tkackich. W pracach, wydanych przez *Verein für Socialpolitik*, znajdziemy cały szereg faktów podobnego rodzaju, dotyczących najrozmaitszych zawodów i miejscowości.

Zwróćmy się jednak do statystyki, a przekonamy się, że i faktyczny związek przemysłu domowego z rolnictwem jest nader słaby. Według danych z r. 1882 rolnictwo stanowiło obecnie zajęcie 19,6% trudniących się przemysłem domowym i 17% robotników fabrycznych. Jeżeli przypomnimy, że przemysł domowy skoncentrowany jest przeważnie po wsiach, przeciwnie zaś—fabryczny w miastach, nie wyda się nam tak paradoksalnym zdanie Sombarta, iż praca w fabrykach łatwiej połączoną być może z rolnictwem, niż domowo-przemysłowa. W każdym razie nie może być mowy o przemyśle domowym, jako koniecznym uzupełnieniu rolnictwa.

W ogóle prof. Sombart utrzymuje, że robotnicy, w przemyśle domowym zatrudnieni, wcale nie są zainteresowani w zachowaniu tej formy przemysłu. Powiadamy formy, bo naturalnie chodzi im bardzo o dalsze istnienie przemysłu, jako źródła zarobkowania. Być może jeden tylko typ robotniczy ma istotny interes w zachowaniu domowej formy przemysłu. Są to „biedne szwaczki”, t. j. żony, wdowy i córki urzędników, drobnych mieszczan i t. d., które zmuszone są pracą własną uzupełniać dochód rodziny, nie mogą jednak z tych lub innych względów ani pracować po za domem, ani wytworzyć innej, nieprywatno-kapitalistycznej organizacji swego przemysłu¹⁾.

Interes natomiast przedsiębiorców w zachowaniu przemysłu domowego jest bardzo zrozumiały i widoczny. Przemysł domowy jest przede wszystkim „elastyczniejszy” od fabrycznego. Wszelkie zmiany zapotrzebowania, czy to zwykle, sezonowe, czy też niezwykle, kryzysowe łatwiej przenieść może przedsiębiorca „domowy” niż fabryczny. Przyczyna tego jest widoczna. Cały ciężar spada tu na robotników jedynie. Wszelka fabryka przedstawia duży uwięziony kapitał, pozostawienie jego bez użytku nierzadko czystą stratę, wycofanie zaś jest nierzadko bardzo trudnym, a niekiedy nawet niemożliwym. W przemyśle domowym nic podobnego kapitałście nie grozi, nie daje się robotnikowi zamówienia, lub nie kupuje się od niego gotowego wyrobu i basta.

Po drugie przemysł domowy produkuje dla kapitalisty taniej nie dla tego, żeby był produkcyjniejszym, lecz dla tej prostej przyczyny, że udział robotników w wytworze jest mniejszy, niż w fabrykach. Pod tym względem akcje przemysłu domowego, jak sądzi Sombart, w przyszłości podniosą się jeszcze bardziej. W przemyśle fabrycznym zorganizowani robotnicy coraz natarczywiej domagają się wyższej płacy, państwo zaś ogranicza coraz bardziej możność wycisku pracy kobiet i dzieci, oraz narzuca wciąż nowe ciężary (np. składki ubezpieczeniowe). Ani o strejkach, ani o ograniczeniach prawnych w przemyśle domowym dotąd nie słychać, a więc on to właśnie stać się może tem Eldorado, do którego uciekać będą kapitaliści z fabryk, w których wolność ich coraz bardziej jest krępowana.

Łatwo zrozumieć, że to, co dla kapitalisty jest zaletą przemysłu domowego, nie jest tem wcale nietylko dla robotników, ale dla całego społeczeństwa nawet. Elastyczność np. tego przemysłu, niezależnie od tego, że odbija się nader ciężko na robotnikach, jest też przyczyną, zwiększającą anarchiczność produkcji. Taniść zaś tego przemysłu odbija się zwykle nie

na cenie produktów, lecz na dochodach przedsiębiorcy. Tam zaś, gdzie taniść odbija się i na cenie, występują inne wady produkcji domowej: niejednostajność wykończenia i lichota roboty, która w ogóle bardzo szkodzi przemysłowi niemieckiemu na rynkach zagranicznych.

Teoretycy ekonomii wyliczają jednak zwykle cały szereg zalet przemysłu domowego, tak np. prof. Schönberg w swym *Podręczniku* widzi tych zalet aż 8. Bliższe jednak wejrzenie okazuje całą ułudę tych stron dobrych. Czytamy np., że praca domowa jest pracą w rodzinie, że zatem rodzina nie jest tu rozbita tak, jak w fabryce, że ojciec kierować może wychowaniem dzieci itd. Brzmi to istotnie bardzo pięknie, czy nie jest jednak bezlitośną ironią wobec tego, że ojciec ten pracuje 16—18 godzin dziennie, i wyciska siły własnego dziecka od najmłodsze go wieku. Często mówi się również o tem, że praca domowa jest wogóle zdrowszą od fabrycznej. Trudno zrozumieć, o co tu chodzi. Po pierwsze każda praca nadmierna (nawet obcinanie kuponów, powiada Sombart) jest szkodliwą. Po drugie, jeżeli jakaś praca jest „zdrową”, to chyba dzięki właściwościom swoim, które przejawiałyby się tak samo w fabryce, jak i w domu, nie można więc nieszkodliwości dla zdrowia uważać za cechę domowej formy przemysłu. Po trzecie zaś, w robotach „niezdrowych” (a takimi są np. w przemyśle domowym wyrób cygar, zabawek i t. d.) ciągły pobyt robotnika domowego w atmosferze, przepelnionej szkodliwymi odpadkami lub kurzem musi być zgubniejszym dla jego zdrowia, niż przepędzanie w takich warunkach części tylko dnia przez robotnika fabrycznego.

Prof. Sombart, być może, jest niezupełnie sprawiedliwym w ocenie złych stron przemysłu domowego w porównaniu z fabrycznym, w każdym razie nie ulega wątpliwości, że położenie robotników tej kategorii jest bardzo ciężkie i że społeczeństwo musi przyjść im z pomocą. W jakiej jednak formie pomoc ta okazaną być może, prof. Sombart pomówić ma innym razem.

J. Książyc.

Współzawodnictwo i współdziałanie.

V.

Tak samo jak nieuzasadnionemi są obawy, że walka o byt przestanie kiedykolwiek wpływać na doskonalenie się jednostek i społeczeństw, tak samo jak obawy te rozproszą się, gdy tylko szerzej teoryje Darwina poczniemy rozumieć, tak podobnie nieuzasadnionemi są napaści niektórych pisarzy socjalistycznych oraz pewnych teologów i moralistów na uznawanie walki o byt za kierowniczy i kształtujący pierwiastek życia. Błąd *laissez-faire* ystów, jakieśmy widzieli, polega nie na przychylnem spoglądaniu ich na walkę o byt w ogólności, ale na dowolnem ograniczaniu jej wpływu do niższych tylko postaci działania, na tem, iż, wprowadzając ją jako pierwiastek czynny do wyższych form życia społecznego, samemu działaniu jej formę wyższą nadać zapominają. Błędem Spencera nie jest to, że walkę o byt, że współzawodnictwo jednostek uznał za jeden z czynnych pierwiastków społecznego rozwoju, ale to tylko, że owemu współzawodnictwu kazał (domyślnie przynajmniej) ograniczyć się do form najprostszych, do form, nie uwzględniających faktycznie ani zakresu, ani pośredniości społecznych stosunków.

Po tych zastrzeżeniach, z pożytkiem będziemy mogli zapoznać się z poglądami Gronlunda, które tu podam w streszczeniu, o ile dotyczą one sprawy współzawodnictwa: pamiętać tylko musimy, że, zamiast bezwzględnego potępienia walki o byt, wszędzie domyślać się należy potępienia jej form niższych na korzyść bardziej rozwiniętych postaci.

„Przyczyną największych naszych cierpień obecnych jest bezplanowość; co stanowi najpilniejszą potrzebę naszą, co mieć musimy, co dać nam powinien urząd współdzielczy, co w pewnej mierze, dają już nam *trusty* — to właśnie planowość, ujęcie działań społeczno-ekonomicznych w pewien system”. „Bezplanowość i anarchia jest wielką klęską, właściwą

ustrojowi współzawodniczemu”. Mamy tu powiedzieć o „pewnej koncepcji fałszywej, najgorszej może ze wszystkich—jest ona bowiem nie tylko zaślepieniem wobec faktu, ale upoatezowaniem *klamstwa*. Mam tu na myśli *walkę o byt*, którą Herbert Spencer wystawia, jako „najpowszechniejsze, najbardziej kierownicze i najwięcej ogarniające uogólnienie”. Przypuściwszy, iż stosuje się to do zwierząt oraz plemion dzikich, nie uznajemy, iżby stosowała się ona, iżby kiedykolwiek przeznaczonem jej było stosować się do ludzi cywilizowanych: tutaj zastępuje ją właśnie coś wręcz przeciwnego (fakt, wobec którego są oni ślepi): przeznaczeniem naszym jest widocznie zgodna praca wspólna, jako walka *przeciwko przyrodzie*. Ta walka o byt jest w teorii tem, czem współubieganie się jest w praktyce; istotnie, wieleby się zyskało na poprawności rozumowania, gdybyśmy mogli zawsze używać tego drugiego wyrazu, zamiast pierwszego, abowiem, gdy tylko zwolennicy ustroju współdzielczego mówią o usunięciu współzawodnictwa, przeciwnicy ich gotowi są insynuować, że tamci pragną znieść wszelką, jaka tylko jest we współzawodnictwie, emulację. Jedynie takie tylko pogmatwanie terminów może wytlómaczyć tę okoliczność, że ekonomisci mówią nam, iż współzawodnictwo jest tem dla życia społecznego, czem siła powszechnego ciężenia—dla mechanizmu niebios. Niech więc raz już zrozumieją, że, pragnąc zniszczyć współzawodnictwo, chcemy jedynie usunąć na zawsze, *walkę o życie, o byt*, gdy tymczasem *emulację* pragniemy podsycać”. „Mówimy, że praca, znajdująca się jeszcze w niewoli współzawodnictwa—z powodu iż nie zdążyła przybrać postaci swej racjonalnej, jest czemś tragicznym. Ta teoryja walki o byt jest szatańską, antyspołeczną i w najwyższym stopniu marnotrawną. Jest ona szatańską, a nawet, ani mniej ani więcej, *ateuszowską*. Raz pozwolimy, iżby walka o byt stała się prawem wszechmożnem, nawet wśród ludzkości, będziecie musieli pogodzić się z bezlitośną logiką Haeckla, mówiącego, że tylko szkoła idealistyczna, zamykająca oczy na prawdę istotną, może dalej opowiadać nam bajkę o moralnym porządku świata”.

Przypominając to, cośmy mówili wyżej o przyrodzonych podstawach moralności, o znaczeniu czynników moralnych w życiu społecznym, rozumiemy, że samo już potępienie niższych postaci walki o byt li tylko ze *stanowiska moralności* jest, a przynajmniej może być, zapowiedzią zniknięcia ich z dziedziny tegoż życia: idzie tylko o to, czy potępienie owo wspiera się na podstawach realnych, czy dalsze budzenie się społecznej świadomości zdoła wykazać antagonizm pomiędzy niższymi postaciami walki o byt oraz wymaganiami instynktu zachowawczego. Oto w jakim znaczeniu względy *moralne* mogą wchodzić do nauk społeczno-ekonomicznych w charakterze danych jaknajbardziej istotnych i realnych, z którymi nie rachować się byłoby takim samym *błędem naukowym*, jak nie liczyć się np. z zasadą rozszerzania się ciał pod wpływem temperatury, w badaniach hydrostatyki. Po tej uwadze wróćmy znów do Gronlunda. „Naturalnie, walka o byt jest *antyspołeczna*. Samo jej określenie mówi nam o posuwaniu się jednego *kosztem innych*, o spychaniu tych innych z drogi... Jest to ślepa, pełna rozgoryczenia, rozpaczna wojna domowa, bardziej okrutna i zażarta, niżli zapasy na barykadach wojna—w której głód i niedza oblegają domy, w której się walczy o bogactwo, wytworzone wspólnymi siłami. Najgorszem zaś jest to, że niszczy ona moralne bogactwo narodu—prędzej, niż jego bogactwo materialne: czyni ona ludzi rozgoryczonymi, podejrzliwymi i okrutnymi; zwraca sąsiada przeciwko sąsiadowi. To jedno już wskazuje, że współzawodnictwo jest okropnem *marnotrawstwem*. Nie wytwarza ono, ani też nie przyczynia się do wytwarzania czegokolwiekbądź”. Dość przypomnieć owe rywalizujące ze sobą koleje amerykańskie, z których każda zatrudnia całą armię ludzi pracą niepotrzebną; dość pomyśleć o olbrzymich zasobach różnych wytworów, nie mogących znaleźć zbytu, wskutek nadprodukcji. „Z wielu twierdzeń Spencera można byłoby wnosić, że, w miarę postępów ewolucji, więzy pomiędzy jednostką a społeczeństwem słabną”, tymczasem „zarówno historia, jak i polityka praktyczna bez cere-

¹⁾ Zwracamy ponownie uwagę czytelników na określenie *przemysłu domowego*, podane w zeszłym numerze. Pojęcie to, jak widzimy z obecnego przykładu, nie jest wcale jednoznaczne z przemysłem *kustarnym*, obejmuje szerszy zakres.

monii pomijają protest Spencera i anarchistów". „Wytworzenie społeczeństwa i życia w niem każe domyślać się zaraz *współdziałania*; to znów domyślać się każe subordynacji elementarnej—czyli że, zarówno tworząc społeczeństwo, jak i działając wespół z bliźnimi, jesteśmy *posłuszni*. Bez wątpienia, wyraz ten w naszym wieku targa niemile nerwami, ale niema na to rady: tłómacząc uczciwie fakty naszego bytowania, powiedzieć musimy, iż posłuszeństwo jest najistotniejszą podwaliną zarówno społeczości jak i socyologii”.

„Ale wszelkie współdziałanie domaga się organu, któryby je reprezentował; bez takiej koncentracji jest ono płonne. Ztąd to niemożliwym jest społeczeństwo bez rządu. Pytanie nie polega tu na tem, czy ma istnieć władza, czy też nie ma istnieć, ale na tem, czy ma ona być tylko cieniem, czy też władzą istotną. Jedyną, ostatecznie, prawdziwą władzą jest porządek świata, porządek powszechny, zaś wszelka władza inna musi się z nim zgadzać”.

Rozumowania, przytoczone dawniej, powinny przypomnieć nam tutaj, w jakim znaczeniu oraz z jakimi zastrzeżeniami wyrazów tych mamy używać tak, iżby się uwydatniła się przed nami cała nieodzowność—posłuszeństwa, iżby „nerwami naszymi” ono nie targało. „Gdyby zarzut co do złego wpływu usunięcia walki o byt na sprawę rozwoju naszej indywidualności był słusznym, powiada dalej autor, byłby on w moich oczach niepokonanym. O ile bowiem nienawidzę indywidualizmu, o tyle utrzymuję, że *indywidualność*, t. j. suma wszystkich przymiotów, które wyróżniają nas od innych, jest rzeczą najświętszą. Ona to właśnie *pozwała nam służyć krajo i ludzkości*, zaś wyplenienie jej byłoby zaiste klęską, większą jeszcze dla społeczeństwa, niż dla nas samych”.

Po tem, zarówno naszym własnym, jak i dokonaniem przez Gronlunda teoretycznym obaleniu zasady, upatrującej w niższych postaciach współzawodnictwa podwalinę rozwoju naszej indywidualności — będziemy już mogli rychło przejść do wykazania tego, jak dalece ustrój współzawodniczy, zwany niesłusznie „indywidualistycznym”, przyczynia się w praktyce życiowej do spaczenia i skrepowania indywidualności. Ten wpływ złowrogi spostrzedz będziemy mogli we wszelkich a wszelkich sferach, w jakich indywidualność nasza działać, we wszelkich warunkach, w jakich rozwijać się może. Jako przykład weźmiemy Amerykę.

Spoglądając na cały obszar stosunków tamecznego życia, spostrzeżemy odrazu, że toczyć się ono może li tylko za cenę unicestwiania przerażającej masy indywidualności — na korzyść wątpliwych bardzo zysków indywidualności innych. Aby się o tem przekonać, zapytajmy siebie naprzód, w czem najsilniej, najwyraźniej wypowiada się indywidualność? Sferą taką jest oczywiście sfera naszej *twórczości* — naszej pracy wytwórczej — pod wszelkimi jej postaciami: twórczości duchowej i fizycznej — twórczości naszej, jako organizmów biologicznych i jako pierwiastków składowych społeczeństwa, a więc: rozmnazanie się, wytwórczość naszych mięśni, praca naukowa, artystyczna i t. d. We wszystkich tych sferach spostrzegamy bądź krepowanie, bądź spaczenie dążeń indywidualnych; ludziom naiwnym, albo świadomie przekraczającym fakty wolno — mówić, że przyczyną takiego stanu rzeczy jest pochłonięcie jednostki przez ogół, przez państwo; co do nas jednak, to powinniśmy rozumieć, że raczej, wprost przeciwnie, jest to wynik pożerania ogółu przez jednostki nieliczne, jest to skutek przywłaszczenia sobie praw i korzyści ogółu przez owe nieliczne jednostki: nie państwo, jako pewna istność mistyczna, jest tutaj winnym, gdyż bez państwa nie możemy sobie życia społecznego wyobrazić, ale uzurpacja i eksploatacja praw i zadań jego przez garstkę przywłaszczycieli.

Jednakże, aby pojąć w jaki sposób odbywa się ta sprawa wywłaszczenia, aby się przygotować należycie do zrozumienia jej przebiegu w rozmaitych dziedzinach życia, musimy raz jeszcze zwrócić się do wywodów teoretycznych. O ile działalność nasza — duchowa lub fizyczna — jest subiektywnym (podmiotowym) wykładnikiem naszej indywidualności o tyle znów wykładnikiem jej przedmiotowym jest *własność* — czyli bezpośredni owej działalności wytwór. Własność, w należytem jej rozumieniu, sta-

nowi najcenniejszą, najbardziej niezbędną podstawę społecznego życia: jest ona nieuchronnym warunkiem istnienia społeczeństw oraz najbardziej nieodłącznym i nieodzownym czynnikiem istnienia i działania naszej indywidualności; jest to indywidualności owej rozszerzenie, uzewnętrznienie. To też odjęcie tej części zewnętrznej, przedmiotowej tak samo uboży naszą indywidualność, jak unicestwienie jakiegoś przymiotu wewnętrznego. Żądza własności — duchowej lub materyjalnej, poczucie duchowego albo materyjalnego, władania jest najgłębszą naszych działań sprężyną; jeżeli prawdą jest, że zdrowy organizm już w samem działaniu swem znajduje rozkosz, to niemięniej też jest oczywistem, że działanie owo przestałoby dlań być źródłem rozkoszy, gdyby nie było jego działaniem.

Uprzedzić tu potrzeba pewien możliwy zarzut. Przytoczą nam przykłady takich jednostek, które cieszą się i doznają żywej rozkoszy na widok działalności innych. Odpowiem na to, że 1-o uznając własność i żądę posiadania za *niezbędne* czynniki życia społecznego, nie uznaję ich za *czynniki jedynne*; 2-o w jednostce, któraby stale i zawsze cieszyła się widokiem działalności innych, więcej niżli poczuciem własnej mogłyby się rozwijać wszelkie przymioty, oprócz indywidualności.

Ala zarówno pojmowanie jak i odczuwanie własności zmieniało się z biegiem społecznego rozwoju. Łatwo spostrzeżemy, że podane tu przez nas określenie jej — ani w teorii ekonomicznej, ani w praktyce życia częstokroć uznawaniem nie było. W życiu, szczególnie, widzimy z jednej strony, jak miano własności stosowanem bywa do przedmiotów, nie tylko nie będących bezpośrednim albo pośrednim owocem wytwórczej działalności samego posiadacza, ale, co większa, do przedmiotów, nie mogących zgoła być pośrednim lub bezpośrednim wytworem czyjejkolwiek bądź działalności. Z drugiej strony znajdujemy często, iż nazwy tej w stosunku do wytwórcy odmawia się owocom jego własnej pracy.

Nasze określenie własności — bezpośredni owoc (albo jego równoważnik) wytwórczej działalności osobnika — domaga się przeto uzasadnienia. Tak samo, jak marksowskie określenia wartości nie jest wyrazem żadnego z poszczególnych stosunków konkretnych, lecz stanowi tylko abstrakcyjne sformułowanie szematu owych stosunków — sformułowanie, z którego usunięto wszelkie wahania i zboczenia konkretne, tak też i nasze określenie własności, nie odpowiadając bynajmniej rzeczywistym faktom poszczególnym, jest tylko sformułowaniem ogólnego *kierunku*, w jakim rozwijają się stosunki własnościowe, *dążąc do przejścia w stan równowagi ruchomej, odpowiadającej wymaganiom społecznego życia*. Zanim pomówimy o pozornych albo istotnych wyjątkach od tego prawa, musimy postarać się o należyte wykazanie, iż rzeczywiście stanowi ono modłę, podług której kształtują się z biegiem czasu stosunki własnościowe, podług której kształtować się one *muszą*, jeśli społeczeństwu nie ma grozić zagładzie zupełna. Innymi słowy, konieczność ulegania owemu prawu umotywować tu trzeba, wykazując jego związek z jakąś przyrodzoną podstawową zasadą społecznego bytowania.

J. K. Potocki.

KRONIKA PRZYRODNICZA.

Manometr na wieży Eiffel. — Obserwatorium na Mont Blanc. — Zmiany w składzie krwi pod wpływem pobytu na znacznej wysokości. — Ścinanie się krwi. — Działanie światła na mikroby. — Substancja trująca hodowli grzybiczych. — Świecące się i barwne mikroby.

We wszystkich przedsięwzięciach naukowych na wielką skalę, w zwalczaniu trudności i przeszkód, stojących na drodze spostrzeżeń, dokonywanych w warunkach niezwykłych, francuzom niewątpliwie należy się pierwszeństwo. Mamy tutaj zaznaczyć dwa urządzenia, które obiecują znacznie z bogacić wiedzę w nowe fakty i spostrzeżenia. Jednym z nich jest urządzenie olbrzymiego manometru na wieży Eiffel, o którym wiadomość podał Cailletet na posiedzeniu Akademii paryskiej z d. 13 kwietnia.

Wiadomo, że jedynym dokładnym sposobem oznaczania ciśnienia jest manometr otwarty, t. j. rurka otwarta, napełniona rtęcią; wysokość słupa tej ostatniej daje wprost miarę ciśnienia, jakiemu ulega rtęć w dolnym końcu rurki. Zasada ta służyła do dokładnych pomiarów ściśliwości gazów w doświadczeniach Dulonga i Arago, a później Regnaulta. Posługiwali się oni niewysokim względnie budynkiem i rurką, nie przewyższającą 27 metrów. Dziś wieża Eiffel dała możność urządzenia manometru otwartego, wysokiego na metrów 300. Słup rtęci tej wysokości wywiera ciśnienie blisko 400 atmosfer. Oczywiście, że żadna rurka szklanna nie mogłaby wytrzymać podobnego ciśnienia. Manometr więc składa się z rurki stalowej odhartowanej, o średnicy 4,5 mm. Aby można było sądzić o wysokości rtęci, co 3 metry urządzone są kruczki, łączące się z rurkami szklanymi również 3 metry długimi, w których rtęć ma ten sam poziom, co i w rurze stalowej. Pewne urządzenie w pracowni, mieszczącej się u podstawy wieży, daje wprost wskazówkę, jaki kruczek ma być otwarty. Wysokości odczytuje się na skalach drewnianych (jako najmniej zmiennych pod wpływem temperatury), starannie ustawionych koło rurek szklanych i sprowadzonych do jednego zera początkowego.

Należy także uwzględniać temperaturę; przy tak znacznej bowiem wysokości zachodzić może wydłużenie wieży, a więc i rurki stalowej, o 1 decymetr, przy różnicy temperatury, wynoszącej 30° C. Również i ściśliwość rtęci winna być uwzględniona.

Cały przyrząd, podobnie jak i połączona z nim pracownia, urządzone są kosztem Eiffla i oddane do rozporządzenia Cailletet'a, który rozpoczął już w niej prace nad prężnością pary i ściśliwością gazów.

Drugim niemniej śmiałem przedsięwzięciem, a wykonanem również prywatnymi środkami, jest obserwatorium, zbudowane przez p. Vallot w pobliżu szczytu Mont Blanc. Wszystkie spostrzeżenia meteorologiczne czyniono dotychczas przeważnie na niewielkich wysokościach. Dawały one przeto pojęcie tylko o bardzo małej części objawów, zachodzących w powietrzu. Dopiero od lat kilku poczęto urządzać pracownie meteorologiczne na szczytach gór. Spostrzeżenia, w tych pracowniach czynione, mają ogromną wartość, pozwalają bowiem porównywać zjawiska w górnych warstwach atmosfery z tem, co się jednocześnie w dolnych odbywa i doświadczalnie przekonać się o tem, co stanowiło przedmiot domysłów i przypuszczeń.

Najwyższe stacje dotychczasowe nie przenosiły wysokości 3,100 i 3,300 metrów. Vallot już w roku 1887 przedsięwziął próbę urządzenia czasowej stacji meteorologicznej na szczyście Monblanu. Trzydziestu przewodników przeniosło narzędzia i potrzebne do kilkodniowego pobytu rzeczy na szczyt góry. Niełatwo udało się namówić przewodników do tej próby, albowiem powszechnem było przekonanie, iż kilkodniowy pobyt na takiej wysokości jest niemożliwy. W ciągu trzech dni, pracując w dzień i cierpiąc wielkie zimno w nocy, w namiocie, przetrwawszy szczęśliwie burzę, Vallot i Richard zdołali zebrać do 600 rozmaitych spostrzeżeń. Prócz tego ustawiono przyrządy meteorologiczne, notujące automatycznie w przeciągu 2-ch tygodni. Pięć razy zwiadał je w ciągu lata Vallot, a ponieważ jednocześnie urządził on stacje podobne w Grand-Mulet i Chamounix, mógł więc porównywać spostrzeżenia, jednocześnie dokonane na wysokości 1,000, 3,000 i 4,800 metrów.

Wyniki otrzymane zachęciły go do urządzenia stacji stałej. Pokazało się jednak, że budowla podobna na samym szczycie jest niemożliwą. Po długich wahaniach, zważywszy wszelkie okoliczności, wybrał Vallot za miejsce budowli skalę des Bosses na wysokości 4,400 metrów, a za formę — szalet drewniany.

Główne trudności polegały na tem, że materyjały budowlane trzeba było dźwigać na barkach ludzkich od Pierre Pointue, t. j. na wysokość 2,000 metrów. Prócz tego budowa powinna się była odbyć z największym pośpiechem, tak ze względu na możliwość huraganów, często nawiedzających te szczyty, jak i tego, że dłuższy pobyt na podobnej wysokości był niezmiernie uciążliwy. Natężona

praca w tak rozrzedzonym powietrzu łatwo wywoływała chorobę, zwaną „mal de montagne”, a polegającą na niedostatecznym utlenianiu krwi. Jakoż, kilku robotników musiało już na drugi dzień porzucić pracę z powodu tej choroby.

Ponieważ budowla przedsięwzięta miała jednocześnie służyć za przytułek dla zwiedzających górę na wypadek niepogody lub znużenia, więc wielu przewodników podjęło się pracy bezinteresownie. Prócz tego gmina Chamounix dała niewielką subwencję. Stu ośmiu przewodników w ciągu dwóch dni wydzwignęło ważący 1,700 kilogramów szałet na miejsce przeznaczenia. Prócz tego 100 innych dzwigało potrzebne do obozowania materiały i żywność. W ciągu kilku dni szałet był wybudowany i otoczony murem z kamieni. Szałet składa się z 2-ch pokoi, z których jeden przeznaczony na obserwatorium, drugi zaś otwarty dla wszystkich przybywających. W roku obecnym ma zamiar Vallot rozszerzyć go do sześciu pokoi, sprowadzić narzędzia i urządzić osobną salę do spostrzeżeń widmowych i fotografii. Główną trudność jest przewiezienie, gdyż zajęci przy budowie ludzie mają bezpieczne i dogodne schronienie. Prócz tego urządzono 4 stacje na wysokości 3,000, 2,000, 1,100 i 600 metrów, oznaczające ciśnienie, temperaturę i wilgoć, a 3 inne na wysokości 4,810 (szczyt Mont Blanc) 3,820 i 2,000 m., oznaczające tylko temperaturę i wilgoć. Dotychczas już udało się zebrać nie mało spostrzeżeń, których ogłoszenie ma nastąpić niebawem.

Mówiąc o stopniowym zdobywaniu przez człowieka wyższych warstw powietrza, wspomnieć należy o nowych spostrzeżeniach, dotyczących przystosowania się organizmu do tak odmiennych warunków, w jakich odbywa się oddychanie na tych wyżynach. Muntz dokonał porównawczej analizy krwi królików z nizini i tych, które wzrosły na szczycie Pic du Midi. Rozbiór ten pokazał, że ilość hemoglobiny jest większa w krwi zwierząt ze szczytu góry. Wiadomo, że hemoglobina, główna czynna składowa część ciałek czerwonych krwi, wykonywa bardzo ważną funkcję w oddychaniu: wchłania ona z łatwością tlen z powietrza, w czasie gdy krew przebiega w płucach i roznosi go po całym organizmie, niemniej łatwo oddając go wszystkim tkankom, które krew omywa. Zwiększenie więc ilości hemoglobiny wynagradza i równoważy zmniejszoną ilość tlenu w rozrzedzonym powietrzu szczytów górskich.

Drugim przyczynkiem do wyjaśnienia fizjologii krwi jest rozprawa Arthusa o ścinaniu się tej cieczy. Od czasów Al. Schmidta wiadomo, że ścinanie się krwi (tworzenie się włóknika) polega na połączeniu się dwóch substancji w tej cieczy zawartych, t. j. fibryno-twórczej i fibryno-plastycznej; oraz że połączenie to następuje pod wpływem fermentacji, odbywającej się wtedy, gdy krew znajduje się w warunkach niezwykłych, gdy np. zostaje wylana z naczyń krwionośnych. Niektóre sole i substancje alkaliczne (np. soda) przeszkadzają ścinaniu się: krew z domieszką tych ciał może zostawać przez długi czas ciekłą. Przypuszczano więc, że te substancje albo uniemożliwiają fermentację, albo strącają jedną ze składowych części włóknika. Pages i Arthus wykazali już w zeszłym roku, że ścinanie się mleka, które z wielu względów zbliżone jest do podobnej sprawy we krwi, zależy od obecności soli wapnia; innemi słowy, że sernik, utworzony przytem, jest połączeniem substancji białkowej z wapniem. Dodanie do mleka ciał, które wapieni strącają (np. kwasu szczawowego), zatrzymuje ścinanie się mleka. Dodanie nowej ilości soli wapiennych powoduje natychmiast ścinanie się. Rozwijając dalej pracę w tym kierunku wykazał Arthus, że to samo stosuje się też do krwi. Ścinanie się jej zależne jest od obecności soli wapiennych i wszelkie substancje, strącające wapieni, utrzymują krew w stanie ciekłym. Wniosek więc ztąd, że włóknik jest związkiem ciał białkowych z wapniem.

Badania w dziedzinie bakterjologii, którą opanowali przeważnie lekarze, przez wzgląd na znaczenie, jakie dziś organizmom najniższym przypisuje się w wytwarzaniu chorób, zajmują wiele bibuły drukowanej ale mało dają materiału do wniosków naukowych, zasługują

jących na zaufanie. Dzieje się to nie tylko dla tego, że badający nie są dość obeznani z metodami nauk morfologicznych, ale i dla tego, że poszukiwania skierowane są wyłącznie ku praktycznym celom, robione naprędce i ogłoszone przedwcześnie. Cała więc ogromna literatura tego przedmiotu bardzo mało przyczyniła się do wyjaśnienia biologii bakteryj. Mamy natomiast masę luźnych spostrzeżeń; z tych niektóre mogą mieć znaczenie praktyczne, jeśli będą poddane ściślejszej krytyce naukowej. Do takich np. należą spostrzeżenia Janowskiego nad wpływem światła na mikroby gorączki tyfoidalnej. Umieszczał on zakazony temi bakteryjami bulion w rurce szklanej, zgiętej w postaci U; jedną gałęź wystawiało się na działanie rozmaitych promieni światła, drugą zaś oklejano czarnym papierem. Pokazało się, że silne światło słoneczne zabija mikroby, słabsze zaś w znacznym stopniu tamuje ich rozwój. Działanie to zależy prawie wyłącznie od promieni chemicznych i zdaje się polegać nie tyle na zabijaniu gotowych już organizmów ile na uniemożliwianiu ich rozmnożenia. Ważne ztąd wnioski może wyciągnąć hygiena co do wpływu oświetlenia słonecznego mieszkań na ich zdrowotność.

Godne uwagi są spostrzeżenia Hericourt'a i Richet'a nad zarazkami gruźliczymi. Traktując alkoholem hodowle tego zarazka w bulionie, otrzymali oni substancję ciemną, ciągnącą się, rozpuszczalną w wodzie, wykazującą słabą siłę trucią; należy bowiem wstrzyknąć aż 2 gramy tej substancji, aby zabić królika ważącego 2 kilogr. Co jednak stanowi jej osobliwość to, że już $\frac{1}{4}$ gr. wystarcza na zabicie królika, zakażonego gruźlicą. Jestto więc jad, na który szczególnie wrażliwymi są zakażone gruźlicą organizmy.

Mamy tu jeszcze do zaznaczenia spostrzeżenia Beyerincka nad świecami się bakteryjami. Znane są już od lat kilku te drobne istotki, żyjące w morzu i wydające światło fosforyczne. Beyerinck przedsięwziął szereg poszukiwań w celu poznania, czy świecenie się to jest wynikiem zwykłych czynności fizjologicznych, czyli też powstaje wtedy, gdy warunki odżywiania są niezwykłe. W zamiarze tym hodował rozmaite gatunki świecących się mikrobów w cieczach pożywnych o składzie odmiennym. Pokazało się, że nie wszystkie substancje, które służą za pożywienie tym istotom, sprzyjają świeceniu się. Autor wnosi więc, że jest ono objawem bardzo energicznie odbywającej się sprawy odżywiania. Też same gatunki w mniej przyjaznych okolicznościach nie wydają światła. Gessard badając warunki, w których pewne mikroby wytwarzają barwniki, przyszedł do wniosku, że wytwarzanie to jest wynikiem pewnych osobliwych warunków odżywiania się tych istot. To samo zdaje się stosować do substancji trujących, wydzielanych przez bakterje chorobotwórcze. Mikroby gruźlicze, bardzo trujące, jeśli są hodowane na podścielisku stałym, tracą rychło tę własność przy hodowli w cieczach, jakkolwiek rozmnażają się przytem jeszcze energicznie.

Świecenie się więc, wytwarzanie barwników oraz trucizn zdaje się być wynikiem osobliwych warunków odżywiania mikrobów, nie będąc koniecznie związaniem z ich istnieniem.

W. K.

Kartka z dziejów emancypacji kobiet.

Przed niedawnymi czasy wyszła w Edynburgu spora książka, której autorka opisuje wszystkie zatargi i przeszkody, jakie przejść i zwyciężyć musiały kobiety w Anglii, nim wywalczyły sobie prawo uczenia się i praktykowania sztuki lekarskiej. O walce tej autorka rzecz może, iż była w niej nie tylko *pars magna*, ale nawet przywódca; słowa więc jej, o ile nie zawierają fałszu świadomego, malują istotny stan rzeczy.

W roku 1869 do uniwersytetu w Londynie zwróciła się pani Zofja Jex-Blake z prośbą, iżby jej pozwolono tam studyjować medycynę. Uniwersytet, w którego ustawach prawodawca nie przewidywał, że i kobiety mogą chcieć zostać lekarzami, wręcz odmówił. Udała się tedy pani Blake do Edynburga, gdzie znalazła

kilku przychylnych swej sprawie profesorów, którzy zachęcali ją do słuchania wykładów już wtedy, gdy sprawa zapisu nie była jeszcze załatwioną. Właśnie wydział lekarski wziął tę kwestyję pod obrady i ogłosił, iż dla jednej kandydatki decyzję powziąć trudno. Wyglądało to tak, jak gdyby uniwersytet pragnął ściągnąć więcej słuchaczek. To też do pani Jex-Blake przyłączyły się rychło cztery kobiety i wspólnie wystosowano do rektora zapytanie, czy kobiety mogą chodzić na kursy medyczne, bodaj nawet oddzielnie od mężczyzn, i czy w danym razie—mogą uzyskać stopień lekarski. Odpowiedziano na to pozwoleniem uczęszczania na osobne wykłady; wykładającymi dla kobiet mogli być tylko ci profesorowie mężczyźni, którzy sami to uczynić zechcą; wynagrodzenie miało stanowić rzecz dobrowolnej umowy słuchaczek z profesorami. Senat akademicki wyrok ten potwierdził i w październiku dopuszczono owe pięć kobiet do egzaminu wstępnego, wymaganego przy zapisie na uniwersytet. Kobiety zdały egzamin mogły więc być zapisane na listę słuchaczy; ostatni fakt stanowił jedyny legalny dowód tego, iż dana osoba przekraczała w roli studenta progi wszechchnicy.

Sześć miesięcy szło wszystko prześlicznie. Studentki, oddzielnie od mężczyzn, słuchały tego samego, co i tamci, wykładu i pracowały gorliwie. Przy pierwszych egzaminach w klasie fizjologii ze 127 studentów na *honours list* zapisano 25, a w klasie chemii 36 na 226. Z pięciu zaś kobiet, które przechodziły te klasy, 4 zapisano na tę listę w obu klasach. Jedną z nich była nawet trzecią na liście. Ale oto powstaje pierwszy zatarg. Ustawa uniwersytecka głosi, że 4 studentów, którzy pierwsi zapisani są na liście, mają prawa do *Hope Scholarships*, t. j. uzyskują ustanowiony przez prof. Hope'a przywilej darmego wstępu do laboratoryjów. Ze zaś jednym z tych czterech szczęśliwców była panna Lechy, zapisana jako trzecia na liście w klasie chemii, należałoby jej od przywileju nie wyłączać. Tymczasem wydział przywileju odmówił na tej zasadzie, iż panna Lechy, nie chodząc na wykłady chemii o jednej godzinie ze studentami, nie jest przez to studentem; z drugiej atoli strony przyśadzono jej medal, do jakiego ma prawo 5 pierwszych słuchaczek w klasie. Nadto, odmówiono jej wydania zwykłego świadectwa, że przeszła klasę chemii; takie zaś świadectwo jest nieodbitie potrzebnem do wstąpienia na kursy dalsze. Ze sprawą tą odwołała się miss Lechy do senatu akademickiego, który od składania świadectwa wprowadził ją uwolnić, odmówił jednak zaszczytu *Scholarships*. Tym sposobem raz ją uważano za uczennicę klasy chemii, drugi raz—nie; oczywistą zaś niesprawiedliwością było odmówienie jej zasłużonego tytułu.

Tymczasem dalsze wykłady się rozpoczęły i studentki bywały na nich już razem ze studentami—co prawda, nie na wykładach obowiązkowych, lecz na pomocniczych wykładach przyrodnika A. Nichelsona. Wzorem ostatniego poszli inni profesorowie. Widząc ten postęp, kobiety zapragnęły studyjować nauki lekarskie nie tylko z książek, ale i w szpitalu; zażądały tedy wstępu do *Royal infirmary*. Cóż się dzieje?

Oto studenci, którzy do tej pory zachowywali się względem swych koleżanek całkiem przyzwoicie, zaczęli teraz przybierać postawę wyraźnie wrogą i wystosowali do swych władz żądanie odmówienia kobietom wstępu na sale szpitalne. Tak się też stało. Ale studentom niedość tego było; okazali się oni jeszcze gburami w czynie i poprostu w dniu egzaminów nie pozwolili kobietom stawić się przed egzaminatorami. Spotkały za to studentów łajauia ze strony dzienników i publiczności. Ale młodzież męzka znajdowała poparcie wśród lekarzy i profesorów, z których jeden wprost nawet wyraził zdanie, że, ponieważ sam ma wielu synów do wy kierowania na ludzi, więc nie może ułatwiać kobietom dostępu do zawodu lekarskiego.

Uczyć się medycyny bez szpitala—niepodobna. Na szczęście studentek, rada, zarządzająca szpitalem, miała być zmienioną. Wyborów nowych dokonywano pod hasłem dopuszczenia lub wyłączenia kobiet ze szpitala. Studentki jednak zdołały już zyskać sympatyje ogółu, więc w wyborach agitowały panie

edynburskie, przemawiali słowem lub drukiem Darwin, Galton, Murchison, Huxley, Tyn-dall, Lockyer i inni — na korzyść kobiet. Ale i przeciwnicy nie zasypiali sprawy. Dla roz-trząśnięcia jej urządzili studenci nawet zebranie publiczne, na którym spotkała ich sroga konfuzja. Oto na ten *reunion* przyszła pewna podeszła dama po to, „aby (jej własne słowa) przyjrzeć się nieco, do jakiego to rodzaju lu-dzi mają się udawać po poradę kobiety, od chwili, gdy zawód lekarski został dla pici słabej zamknięty.” Pono widok nie był zachęcający... Na argument jednego z profesorów, iż wstęp studentek na sale szpitalne winien już być choćby dla tego wzbroniony, że wspólne obcowanie obrażałoby uczucie delikatności studentów, sir James Coxe odpowiedział, po-wołując się na obecność przy chorych siostr miłosierdzia, które nie żenują żadnego stu-denta.

Przed wyborami, studentki, biorąc pod uwa-gę wyszukaną czy chorobliwą delikatność stu-dentów, ograniczyły swe żądania wstępu na sale szpitalne tylko do niektórych części za-kładu; chciały bowiem pracować, nie sprawia-jąc nikomu zakłopotania. Ale oto stał się no-wy wypadek. Pani Jex Blake z powodu wy-jątkowo grubiańskiego zachowania się wzglę-dem niej pewnego preparatora, słowem i pi-smem ogłosiła, iż postępek podobny mógł być usprawiedliwiony chyba niepoczytalnością lub opilstwem. Stąd sprawa sądowa preparatora przeciw autorce komplementu. Ostatnia prze-grała; sąd tytułem odszkodowania przyznał powodowi śmiesznie małą kwotę pieniężną, ale skazał panią Blake na zapłacenie 23,000 fran. kosztów sądowych. Droga sprawiedliwość w Anglii! Natychmiast po ogłoszeniu wyroku za-częły krążyć po Edynbugu listy składek na zapłacenie długu pani Blake. Wkrótce ze-brano więcej, niż było trzeba. Ta sympatya ogółu ku studentkom rozgniewała studentów; zaczęli oni napastować swe koleżanki na uli-cy, posyłać im listy bezimienne; słowem, za-chowywali się jak ciury, którzy się nie uro-dzili *gentlemen*ami.

Niedługo po tem zajęciu studentki zdały za-dawalniająco inne egzaminy. Wreszcie też skon-czyły się wybory do Royal Infirmary. Sprawa wstępu kobiet do szpitala miała za sobą więk-szość wybranych członków rady. Jeden z pro-fesorów zyskał oklaski za to, iż wydawało mu się, jak mówił, potwornością, iżby w kraju, gdzie wodze rządu spoczywają w rękach nie-wiasty, kobietom odmawiano prawa przygoto-wywania wezykatoryj lub zapisania leku. Przy-chylna dla studentek większość rady, nim na-stąpiło jej zatwierdzenie na tem stanowisku, winna była w sprawie lekarek postąpić tak, jak się postępuje zwykle by przeciagnąć sprawę w obawie, iżby nie zostać zduszonym przez nagle zwiększoną np. ilość przeciwników—sko-ro postanowienie natychmiastowe nie posiada jeszcze mocy obowiązującej. Powinna była mianowicie wyznaczyć ze swego łona, z niewiel-kim uwzględnieniem opozycji, specjalną ko-misyję, któraby i t. d., aż przyjdzie zatwier-dzenie. Ale to ostatnie przyszło na szczęście dość wcześnie, iżby podtrzymać gapiowatą więk-szość. Studentki dopuszczono do sal szpital-nych, ale tylko jako posługaczki, nb. jeśli się na to zgodzi zarządzący salą i jeśli studen-ci o tej porze będą gdzieindziej. Zresztą, po-zwolenie dotyczyło tylko 1/6 sal szpitalnych. Dzięki uprzejmości tych ordynatorów którzy chcieli fatygować się na sale osobno ze stu-dentkami, osobno ze studentami, pierwsze za-częły korzystać z nauki w klinice.

Sympatya ogółu ku studentkom coraz tym-czasem wzrastała. Niejaki Walter Thomson, złożył dla nich 25 tysięcy franków. Ale to nie przyspieszało głównego celu, do którego one dążyły. Przecież pozwolenie uczenia się powinno doprowadzić do udzielenia dyplomu lekarskiego kobietom—mówiła pani Blake. Nie—odpowiedział wydział. Znowu proces sądowy, który studentki przegrały i zapłaciły je-szcze przeszło 20,000 fr. za sprawiedliwość. Zwrócili się do innych uniwersytetów—napró-żno, wreszcie dotarli do parlamentu, werbu-jąc wszędy zwolenników, którzyby sprawę po-pierali. Bil odkładano wielokrotnie z różnych powodów. Już studentki zaczęły się krzątać około głębszego zainteresowania swą sprawą szerszych kół publiczności, gdy nagle wszyst-

ko się rozbiło: parlament bil odrzucił. Roz-pacz!

Ale to nie zniechęciło dzielnych angieli. Postanowiły one dopiąć swego inną drogą. Oto wynajęły w Londynie mieszkanie, wyszukały odpowiednich *lecturers* (profesorów) i założyły szkołę lekarską dla kobiet przy pieniężnym poparciu licznych przyjaciół. Teraz jednak trze-ba było, aby choć jedno z 19 jury egzamina-cyjnych w Londynie zgodziło się na uznanie szkoły, t. j. przyjmowało stamtąd uczennice do egzaminu; trzeba było uzyskać wstęp do szpi-tala. Znowu zaczęto kołatać do parlamentu, który szkoły uznać nie chciał. Wówczas to wyszły na jaw istotne pobudki, skłaniające świat lekarski do stawiania oporu kobietom. Była to zwykła obawa współzawodnictwa! Wreszcie, po wielu staraniach, parlament upo-ważnił *jury* egzaminacyjne do dopuszczenia kształcących się we wzmiankowanej szkole kobiet do egzaminów terminowych, czyniąc zre-sztą to dopuszczenie całkowicie zależnym od woli *jury*. Pierwszem *jury*, które przyjęło ko-biety, było irlandzkie w Dublinie; wkrótce po-tem otworzył swe podwoje dla kobiet uniwer-sytet londyński, towarzystwo chirurgów ir-landzkich i t. d. W ten sposób zupełne zwy-cięztwo uwieńczyło wytrwałą i zażartą walkę garstki kobiet pod wodzą pani Jex-Blake.

Sprawa dopuszczenia kobiet do zawodu le-karskiego na stałym lądzie nigdzie takich prze-szkód nie spotykała. Dziś, prawie we wszy-stkich krajach cywilizowanych kobietom wol-no studyjować medycynę i zajmować się prak-tyką lekarską. To też kobiet-lekarzy jest co-raz więcej. Ameryka sama w roku 1881 wy-dała ich około pięciuset.

W. Kar.

GŁOSY.

Taksa aptekarska. — W kwestyi szkół rzemieślni-czych.—Polemika „Kraju”.

— (p.) Nieraz już pisano o niezwyklej dro-żyźnie lekarstw, o wyzysku publiczności przez aptekarzy, ale oskarżenia, pozostawiane zwy-kle bez odpowiedzi, nie wyjaśniały należycie sprawy. Nie ulega wątpliwości i, jak się zda-je, sami aptekarze temu nie zaprzeczają, że ce-ny lekarstw dla ludności ubogiej są niedostępne. Jest to fakt, ale zapytać teraz trzeba, czy przy obecnej organizacji aptek ceny te mogą być znacznie niższe. W oskarżeniach apte-karzy słyszemy ciągle jeden i ten sam argu-ment, że kiedy funt danego lekarstwa kosztu-je np. kilka rubli, to w lekarstwach trzeba za ten sam funt nieraz kilkadziesiąt albo i wię-ciej rubli zapłacić. Na pozór jest to argument słuszny, należy jednak pamiętać, że w cenie lekarstwa liczy się również koszty pracy, utrzymania apteki, procent od kapitału i t. d.

W polemice, jaka się toczy od pewnego cza-su w sprawie taksy aptekarskiej, znajdujemy właśnie ciekawe w tym względzie wyjaśnienia. Oto np. p. L. Ziemiński w *Kuryjerze codziennym* wykazuje, że:

„Mówiąc o taksie pracy, trzeba zwrócić uwagę na tak zwaną czynność farmaceutyczną, która jest z na-tury swojej kosztowną i ważną, bo dotyczy skarbu, który się nazywa zdrowiem i życiem. Funt kalomelu kosztuje rs. 2 kop. 50; ale z tego funta, biorąc po 1 1/2 grana, trzeba zrobić 7,000 proszków. Farmaceuta zaledwie w ciągu dni 7-miu pracy takiej dokona, któ-ry to czas w stosunku do jego utrzymania miesięcz-nego (70 rs.) kosztuje kilkanaście rubli. Tak więc ce-na leku za funt rs. 2 kop. 50, robota zaś około rs. 17-tu wynosi. Funt ipekakuany kosztuje rs. 3. Ale wyrobienie tak zwanych infusów po 5 gran na 1,400 mikstur powiększa koszt jeszcze bardziej, niż przy ka-lomelu.

Na kongresie farmaceutycznym w Petersburgu pe-wien aptekarz prowincjonalny przedstawił centnar zwykłego piasku, rozważonego na proszek 10 granowe i wykazał, że koszt przysposobienia proszków wyniósł kilkaset rubli, podczas gdy piasek kosztował kilkana-ście kopiejek.”

Lokal w Warszawie kosztuje od 3 — 4,000

rs. bo, według ustawy, przy aptece musi być laboratoryjum, zielarnia, suszarnia, piwnica itd. Przypuściwszy nawet, że każda apteka śred-nio wydaje 25,000 recept rocznie, to na każdą receptę wypada 12 do 16 kop.

Dodać można, że np. funt wełny oczyszczo-nej kosztuje kilkadziesiąt kopiejek, za tkani-ną zaś, z tej ilości wełny wyprodukowaną nie-raz zapłacić trzeba nawet kilkanaście rubli. Powtarza się to zresztą we wszystkich pra-wie gałęziach przemysłu przetwórczego.

* * *

— (x.) Przed dwoma, czy nawet trzema la-ty ogłoszona została ustawa normalna dla szkół rzemieślniczych i technicznych, których tak nam potrzeba. Zakładanie tego rodzaju szkół nie spotyka obecnie żadnych przeszkód, cho-dzi tylko o zebranie odpowiedniego funduszu. Z początku mówiono trochę o tej sprawie, na-stępnie, jak zwykle, zapomniano o tem i do-piero w ubiegłym tygodniu w sekcji 4-ej to-warzystwa popierania przemysłu i handlu zno-wu pogawędzono o szkołach rzemieślniczych. Powodem do tej pogawędki były *desiderata*, wy-rażone w sprawie szkół rzemieślniczych na ze-sztorocznym zjeździe techników w Petersbur-gu. Nie ma co—pośpiech godny uznania.

Na posiedzeniu ci i owi mówili o różnych sposobach organizacji szkół rzemieślniczych, trochę sprzeczała się, ale bardzo przyzwoicie, wreszcie postanowili powrócić raz jeszcze do tego przedmiotu w celu opracowania referatu na następny zjazd techników, który ma się odbyć... za kilka lat.

A po upływie tych kilku lat zaczną się mo-że w sekcji rozprawy o konieczności zakłada-nia szkół fachowych, no, i znowu na odpowie-dni przeciąg czasu odroczone zostaną.

* * *

(o) Z powodu znanej odezwy, zamieszczo-nej w codziennych pismach warszawskich, *Kraj* pisze:

„Nie dawaliśmy dotąd wiary pogłoskom pism-rskich o kursowaniu w Warszawie jakichś podburza-jących odezw. Niestety, pogłoski te okazały się prawdziwe. Mieliliśmy w rękę parę owych „prokla-macyj“ i nie możemy się dość nadziwić naiwności au-torów, którzy przypuszczają, że społeczeństwo nasze po tylu doświadczeniach zdolne jest dziś jeszcze dać się odwieść od spokojnej, wewnętrznej pracy i pójść na lep bezimiennej agitacji. Jak sztydo z worka wylaży zresztą tendencyja roboty ze słów odezwy: „Nie zwracamy się do tych, którzy żyją z krwi i po-tu ludu naszego, którym dziś jest dobrze”. Tylko obca ręka socjalistycznego agitatora mogła odważnie nakreślić podobne słowa!

Na szczęście, syrenie głosy zagranicznych manifes-tantów spotkały się z jednomyślnym protestem całej inteligencji naszej. I w Warszawie i na prowincyi słyszeliśmy tylko bezwarunkowe ich potępienie, a ca-ła prasa warszawska wystąpiła z pełnem godności i siły oświadczeniem przeciwko „jednostkom o gorącej krwi, ale słabych głowach”. Charakterystycznym i pocieszającym jest fakt, że nawet prasa polska zagra-niczna, wystąpiła przeciw burzycielom spokoju pu-blicznego.

Miejmy nadzieję, że stare przysłowie: „niema tego złego, coby na dobre nie wyszło”, sprawdzi się i w danym wypadku. Niefortunna próba sprowadzenia społeczeństwa polskiego z drogi spokojnej pracy i twardego obowiązku, odwiedzie zapewne na czas dłuższy lekkomyślnych agitatorów od uszczęśliwiania nas, wbrew naszej woli.

Korespondencyja „Głosu”.

Ponieważ.

Sprawy miejskie.—Tragedyje życia ludowego w świe-tle rozpraw sądowych. — Szkoła gospodarstwa kobie-cego w Poniemuniu.

Dawno już nie nie pisałem o naszych spra-wach miejskich, ale bo co prawda wloką się one z dnia na dzień, rzadko dając materyjał do dyskusyi publicznej. Od kilku miesięcy ma-my już nowego burmistrza, który krząta się żwawo, robi co może, ale zrobić może bardzo

Przegląd społeczny.

mało, tymbardziej, że rozmaitego rodzaju szykany ze strony opozycji dla opozycji nieustają; tak np. niektórzy pp. radni zażądali złożenia przez burmistrza osobnej kaucyj, zabezpieczającej kasę, do czego powodu słusznego niema; żądanie to Rada miejska odrzuciła. Powstała nawet komiczna „kwestya łańcuchowa”, t. j. pytanie: czy członkowie magistratu; obecni na posiedzeniach Rady miejskiej, mają być w łańcuchach (oznaka godności), czy też nie? Rada miejska niekiedy musi udzielać swym członkom specjalnych nagan... za nieprzyzwoite zachowanie się. Opieszałość pp. radnych jest poprostu zadziwiająca; niektórzy nie chodzą nawet na posiedzenia... Kilka komisyj, które miały sprawdzić rachunki miejskie, nie sprawdzane od r. 1886, spełzły na niczem. Ogólne przesilenie ekonomiczne, powszechny upadek dobrobytu itd. ciężko dają się odczuwać kasie miejskiej. Projektowany podatek konsumcyjny, w formie opłaty od każdego wozu z produktami spożywczymi, nie poprawi jej stanu, a da tylko powód do ustawicznych zatargów i kłótni z poborcami, prawdopodobnie żydami, bo mają go wydzierżawić; zresztą, czego i udowodnić nie trzeba, jestto podatek najniesprawiedliwszy, bo cały jego ciężar spiera przeważnie na ludność ubogą.

W tych czasach odbyły się dwie kadencje kowieńskiego sądu okręgowego; jedna zwykła, z udziałem przysięgłych; a druga nadzwyczajna, bez przysięgłych. Spraw charakterystycznych pod względem obyczajowym było dwie: otrucie i znęcanie się, zakończone śmiercią. W okolicy („okolica” — wieś zamieszkała przez szlachtę szaraczkową) Stajliskach u zamożnego szlachcica E-cza służyła za dziewczę folwarczną 16-letnia Anna Dąbrowska, którą uwiódł syn jej gospodarza przy pomocy swojej siostry rodzonej. Dziewczę zaszło w ciążę i podziękowało za służbę, której termin zresztą się kończył. Przed rozstaniem się Klementyna E-wna, rodzona siostra jej kochanka, potraktowała ją piwem grzanem i w 6 dni potem dziewczę zmarło w strasznych męczarniach, z jasnymi oznakami otrucia, co obdukcya zwłok i chemiczna analiza wnętrza zmarłej udowodniły. Dochodzenie dało niejaki dowody, przeto Klementyna E-wna wraz z bratem zasiadła na ławie oskarżonych. Sądowe dochodzenie wykryło bardzo niepiękne rzeczy, ale niewykluczyło jednak możności zatrucia przypadkowego, np. w celu wywołania porodu przedwczesnego. Prokurator bardzo energicznie popierał oskarżenie, ale przysięgli, wyzyskując zachodzące wątpliwości, uniewinnili oskarżonych. Drugą sprawę toczono o znęcanie się męża nad żoną, czego powodem była zbytńska płodność nieboszczki; dzieci, wobec niedostatku, dały powód do zatargów małżeńskich. Chłop, widząc, że żadna praca nie wystarczy na utrzymanie rodziny, zwiększającej się co roku, powoli opuścił ręce, stracił energię, zaczął pić, kraść i znęcać się nad żoną, jako sprawczynią nędzy i upadku. Znęcał się okropnie, ciężarną kopał nogami, włóczył, za kosy trzymając, po ziemi, przerzucał przez płot, bił, wyrwał włosy i t. d. Cała wieś patrzyła na to wszystko zupełnie obojętnie, bo to sprawa między mężem a żoną. Nareszcie nieszczęśliwa umiera, osieracając 10-rodzieci. Dochodzenie sądowe wykrywa wszystko... Przysięgli uznali go winnym, a sąd skazał na 15 lat do ciężkich robót.

W jesieni r. z. pisano nieco o szkole gospodarstwa kobiecego, istniejącej w naszym powiecie; dziś komunikuję kilka szczegółów. Założycielką szkoły jest p. Budbergowa; istnieje szkoła w majątności Poniemuń; celem jej jest dostarczyć społeczeństwu doświadczonych a znających się na gospodarstwie wiejskiem ochmistrzyń. Kurs dzieli się na teoretyczny i praktyczny; teoretyczny obejmuje język ruski, arytmetykę, zasady rachunkowości i higieny domowej, praktyczny zaś: wiejskie gospodarstwo, mleczarstwo i tkactwo. Personel szkoły: kuratorka, nauczyciel języka ruskiego, doktor, ogrodnik, pszczelarz i t. d. Uczennice jest 20; wszystkie one są rodem albo z Kurlandyi, albo z Liflandyi. Szkoła ta, chociaż istnieje u nas, istnieje tylko dla niemek i łotyszek, bo rzadko która wśród naszych dziewcząt umie po niemiecku. Zwracam też uwagę na filantropijny rys tego zakładu; oto $\frac{3}{4}$ uczennice p. Budbergowa utrzymuje kosztem własnym.

J. W.

Siedlec. (Kor. „Głosu”). Dzięki bawiącej u nas trupie p. Sarnowskiego mieliśmy już dwa razy na siedleckiej scenie „Honor” Sudermana. Wędrowni aktorzy odegrali ją dosyć dobrze. Treść sztuki podobala się i wywarła dość wielkie wrażenie. W małym mieście na każdym prawie kroku mimowoli rzuca się w oczy mnóstwo nader charakterystycznych faktów i zdarzeń, mających znaczenie dla tego, kto chce poznać życie tej lub owej klasy mieszkańców. Dość rzucić okiem choćby na zebranych w teatrze, żeby chwycić tyle wzorków, ile potrzeba do scharakteryzowania mieszczańskich stosunków. W jednym z rzędów krzeseł widziałem np. młodą damę, liczącą się w każdym razie do „wyższej inteligencji”. Gdy na stojącym obok niej krześle siadł rzemieślnik, który przyszedł do teatru z żoną rozerwać się po ciężkiej pracy, dama owa zaczęła z początku uśmiechać się ironicznie do siedzącego obok „kawalera”, później odsunęła swe szaty, do których dotykał się swym ubraniem rzemieślnik, wreszcie odsunęła od niego krzesło, i odwróciwszy się tyłem, z dumną i pogardliwą miną toczyła dalej rozmowę. Była to dama tak pełna klasowego „honoru”, że w jej głowie na olej nie starczyło miejsca. O pretensjach intelektualnych naszych panien świadczy fakt następujący. Jedna z panien, należących do „arystokracji”, wzięła z księgarni do czytania niemiecką książkę. Gdy dowiedziały się o tem jej przyjaciółki, aby nie pokazać się od niej gorszymi, zaczęły brać niemieckie książki, nie zwracając uwagi na to, czy są w stanie je czytać. Jedna z nich wchodzi do księgarni i prosi o „coś historycznego”; podają jej książkę, gdzie na tytułowej kartce napisano „*Historischer Roman*”. Proszę pana, odzywa się inteligentna dama, ja już znam tego autora Romana. Czy niema pan czego innego?”

Tomaszów Rawski. (Kor. „Głosu”). Cechę charakterystyczną miasta naszego stanowi jego wybitnie przemysłowy charakter. Inteligencja i nie-inteligencja — to fabrykanci, pośrednicy i robotnicy. Kobiety z inteligencji zajmują się filantropiją — z nudów, bo nie zawsze miasto dostarcza tyle strawy ich pożądlivosti poprawiania wad bliźniego, by nią cały czas zapelnąć. Bądź co bądź, wobec skąpstwa panów mężów, panie dla biednych miejscowych czynią dosyć. W następnych listach scharakteryzuję pojedyncze koła tujsze, różne religiją, pochodzeniem i obyczajami. Z nowin dnia doniesie wypadki o względnym upadku prądu emigracyjnego. Spowodował to powrót kilku emigrantów, którzy przywieźli z sobą, prócz doświadczenia osobistego, materyjalne dowody nędzy amerykańskiej w postaci tamtejszego chleba i cukru. Jeden i drugi, czarny i niepociągający, kursuje po mieście. Taki namacalny dowód działa bardzo przekonująco. Pomoc lekarska bezpłatna nie może być dostateczną z tej prostej przyczyny, że fabrykanci niesłychanie mało lekarzom fabrycznym placą; byle się nazywało, że fabryka ma lekarza. Prócz tego lekarz fabryczny jest do minimum ograniczony w prawie wydawania lekarstw; nowo utworzony szpital już przepelniony, pomimo przewidywań niechętnych, że tu się amatorów do niego nie znajdzie. 18 b. m. odbył się tu koncert na dochód szpitala, przeważnie wokalny. Koncert odbył się w klubie.

Z nad Pilicy. (Kor. „Głosu”). Posiadacze gorzelni, ziemianie w guberniach kieleckiej i piotrkowskiej zamierzają stowarzyszyć się w celach: podniesienia przemysłu gorzelniczego (rolnego), uregulowania cen na spirytus w sprzedaży hurtowej na miejscu i usunięcia pośredników pomiędzy producentem a detalicznym sprzedawcą. Że towarzystwo takie ma rację bytu i że, wobec kulejącego w naszej okolicy (chyba i w całym kraju) od lat kilku i więcej przemysłu gorzelniczego, winno istnieć oddawna, nie ulega zaprzeczeniu. Stwierdzonym również faktem jest szkodliwość dla interesów producenta pośredników, którymi są zazwyczaj żydzi. Pośrednik taki zagarnia cały zysk z wyrobu i sprzedaży okowity, który słuszenie należeć powinien do producenta, choćby ze względu na wyjątkowo trudne warunki, w jakich muszą egzystować gorzelnie u nas. Ażby mieć jakiegokolwiek wyobrażenie o zyskach producenta, dość przejrzeć następujący rachunek: z korca kartofli otrzymuje się średnio wiadro okowity 78 pr. (podług Tralles'a), sprzedawane przez producenta t. zw. pośrednikowi po 60—110 k. bez akcyzy; korzec kartofli kosztuje na miejscu 90—120 kop., czyli że producent do każdego korca coś dokłada. To coś, wprawdzie, pokrywa może, z niejakim nadatkiem nawet, udzielana przez skarb t. zw. superata, jak również wartość wywarów, zostających przy produkcie, w rezultacie jednak, odliczywszy kosztu produkcji, sprowadzimy zysk producenta do

zera: pośrednik tymczasem, zakupiwszy okowitę w gorzelni od razu, sprzedaje ją następnie częściowo z jakim takim zyskiem. Sądzić należy, że mające się zawiązać stowarzyszenie, potrafi usunąć i inne dolegliwości obecnej gospodarki gorzelniczej i że w danym razie powinniśmy, w imię wspólności interesów, udać się pod opiekę skarbu. — Sąd okręgowy kielecki przed paru tygodniami roztrząsał sprawę identyczną z głośną w swoim czasie sprawą małżonków Żołotnickich, z tą różnicą tylko, że ofiarą znęcania się był chłopczyk, oprawcami zaś ojciec, niejaki Żmuda, urzędnik biura powiatowego olkuskiego i jego gospodyni. Po zbadaniu sprawy sąd skazał pierwszego na dwa i pół, a ostatnią na półtora roku do rot aresztanckich z pozabawieniem niektórych praw i przywilejów. — Wiosna w porównaniu z rokiem ubiegłym spóźniła się więcej niż o miesiąc, doprowadzając rolników do smutnych rozmyślań na temat: co to będzie? Niektórzy pomimo deszczów, śniegów i chłodu rozpoczęli z obawą siewy wiosenne. Pogoda wszakże, a raczej ciepło, którem od kilku dni już się cieszymy, wlała w wątpliwe serca otuchę i nieco weselej mówimy sobie: jakoś to będzie. Oziminy w wielu miejscach wyprzały pod śniegiem i niewiadomo, czy odżyją; wogóle utrzymują, że później siane oziminy lepiej się przedstawiają. Wobec nadchodzącego lata i nieuniknionych w tym czasie wypadków z ogniem, należałoby zawczasu pomyśleć o środkach jakiejś takiej obrony powsiach i miasteczkach. Na czasie więc byłoby rozporządzenie wyższej władzy, wystosowane do wójtów gmin i miasteczek, o przysposobieniu przyrządów ogniowych, gdzie się takowe znajdują, do natychmiastowego w razie potrzeby użycia, jak nie mniej o polecenie mieszkańcom, by ci zaopatrzili się w odpowiednią ilość przyrządów ratunkowych, gdyż większa część mieszkańców albo zupełnie ich nie posiada, albo też w stanie niemożliwym do użycia. Zdarzyło mi się naprzykład widzieć niedawno okucie bosaka przy-mocowane do drzewa *sznurkiem*. W niektórych miejscowościach powiatu olkuskiego panuje, jak słyhać, odra; zdarzyło się także parę śmiertelnych wypadków krupu. Trapi również tutejszą okolicę epidemicznie prawie panująca gorączka pologowa, zabierająca wiele młodych żon i matek. Nieznośna ta i nadzwyczaj szybko postępująca choroba, nawet przy doskonałej antyseptyce, często kończy się śmiercią. Przed kilku tygodniami zmarła na nią w Żarnowcu żona powszechnie znanego i cenionego w tutejszej okolicy lekarza p. Sierakowskiego; niedawno zaś w Pilicy na tę samą chorobę zmarła córka p. Ungra, bogatego kupca tutejszego. Oprócz tego z powodu tejże choroby było kilka w okolicy wypadków śmierci, kilkanaście zaś przeszło szczęśliwie. Odnośna inspekcja lekarska powinaby, wobec tak obficie zdarzających się wypadków tej choroby, zająć się zbadaniem wywołujących ją jakichś szczególnych w tych miejscowościach przyczyn i przedsięwziąć środki zapobiegawcze. Parę tygodni temu we wsi Wilkowie, we Włoszczowskiem, włościanin Rusin zabił widłami szwagra swego Skorupe i trupa przy pomocy żony, a siostry denata, wyniósł na dworskie pole w zamiarze ukrycia zbrodni. Przyłapano na kradzieży włościanin Bartłomiej Włoka powiesił się na pasku w areszcie gminnym we wsi Rokitnie, również we Włoszczowskiem. *Cerber.*

Konin. (Kor. „Głosu”). W kwietniu rozpoczęła się znowu wędrownka ludu w tych stronach. Zamożniejsi, zebrawszy fundusze, puścili się do Ameryki północnej. Inni ciągnęli znów tłumnie do Prus, na letni zarobek, a najbiedniejsi wybrali się do Brazylii. Z pierwszymi nie wiadomo co się stanie, jeżeli ich nie puszczą wewnątrz kraju, na co się zanosi podług ostatnich doniesień telegraficznych. Drugich władze pruskie odstawiły całemi gromadami do granicy, a wiadomo, co się stało z trzecią kategorią w Bremie. Ci ostatni należeli wyłącznie do liczby małorolnych, obdłużonych, którym na jesieni kartofle wymarzyły, tak, że z wiosną musieliby płacić za nasienie po dwa ruble za korzec. Zbawali więc swe osady, wędrowali bez świetnych nadziei na przyszłość, dla wyjścia z położenia obecnego. Zachęcały też doniesienia listowne o otrzymaniu gruntu i lasu. Chłopska ostrożność odbija tu jaskrawo. Rzemieślnicy skarżą się szczerze, narzekając na namawiaczy; włościanie zaś nie ganiają wyraźnie, choć nie zachęcają nikogo. Nagana leży w formie umówionej przesyłki. Jeden np. umówił się przed wyjazdem, że jeżeli zaadresuje list do ojca, znaczyć to będzie, że nie znalazł tam rzeczy tak, jak się spodziewał, jeżeli zaś napisze do brata, będzie to zachęta do przyjazdu. W ostatnich czasach przyszedł list pisany do ojca, w treści bardzo ostrożny, opisujący podróz i główne warunki bytu zupełnie obiektywnie. Rodzina jednak zrozumiała, że lepiej jest siedzieć na miejscu. Desperaci nie zważają jednak na ujemne strony osiedlenia się w puszczy, odważają się na walkę z gadami, na przykrości, od owdów doznawane, byleby otrzymać dużo ziemi, a prze-

dewszystkiem wyjść z obecnego, fatalnego położenia. Zimna, spóźniona wiosna nie zachęcała także rolników, wyszły z pod śniegu dość rzadkie oziminy, a zrzędy jeszcze od ciągłych przymrozków. Ceny ziarna poszły wysoko w górę, lecz rolnicy go już nie mają na sprzedaż, nie ma go nawet tutejsze kupiectwo drobne, zniechęcone do handlu poprzednimi latami.

A. M.

Łódź. Korespondent *Gazety Radomskiej* pisze z Łodzi co następuje: „W ubiegłych tygodniach miasto nasze nawiedziły dwa pożary większych rozmiarów; ogółem około 200 robotników pozostało bez chleba, dzięki jednak ożywieniu w przemyśle i rozpoczęciu robót budowlanych, będą oni mogli znaleźć sobie zajęcie. Ruch budowlany zapowiada się w r. bieżącym bardzo pomyślnie; prócz kilku fabryk, miastu naszemu przybędzie znaczna ilość domów mieszkalnych; fakt wielkiej do nosności dla Łodzi, znanej powszechnie z niezwyklej drożyzny mieszkań. W istocie w kwestyi tanich i wygodnych mieszkań Łódź stoi na bardzo niskim poziomie w porównaniu z najmniejszym nawet miastem gubernjalnym naszego kraju; dość powiedzieć, iż dla wyszukania odpowiedniego lokalu, za wysoką nawet cenę, pośrednictwo anonsów w gazetach nie zawsze bywa wystarczającym i niejednokrotnie dopiero kilkunastorublowe faktorne pozwala zdobyć upragnione Chanaan mieszkalniane. Stokroć przykrzejsze warunki panują w dzielnicach uboższych, które w kwestyi mieszkalnianej nie stoją nie wyżej od osławionych zaułków Londynu. Domy, zamieszkałe przez robotników, są prawie zawsze brudne i zaniedbane; składają się one z mniej lub więcej znacznej liczby małych klitek, oddzielonych zupełnie jedna od drugiej i tworzących każda jeden lokal; ściany w takich domach bywają zazwyczaj bardzo cienkie, niedbale z wewnątrz otynkowane, co przy braku tynku na zewnątrz, nie bardzo zabezpiecza mieszkańców od zimna i niepogody. Mieszkania takie służą za pomieszczenie dla kilku niekiedy rodzin, a prawie nie ma wypadków, aby jedna tylko rodzina robotnicza zajmowała pokój osobny; zwykle przy rodzinie mieszka kilka osób pojedynczych, bądź dziewczyn, bądź mężczyzn, którzy na miejscu się stołują, opłacając za wszystko od rs. 1 kop. 50 do 3 rubli tygodniowo; nazywa się to—być na stancyi. Wogóle brak zdrowych i tanich mieszkań jest jedną z największych dolegliwości naszego miasta i dla tego wszelkie usiłowania, skierowane ku usunięciu takowej, zasługują na wielkie uznanie. Do takich zaliczyć wypada łatwość w wydawaniu pożyczek na nowe budowle przez tutejsze Towarzystwo kredytowe, przeciwko której wystąpiło niedawno z protestem 41 stowarzyszonych właścicieli domów w Łodzi, żądając ograniczenia pożyczek na nowo-stawiające się budowle. Protest wzmiankowany, egoistyczny w zasadzie, a z zewnątrz przystrojony w łachmanki względów sanitarnych i higienicznych, upadł na szczęście odrazu, narobiwszy dużo wrzawy w instytucyi i wywoławszy ostrą polemikę w „Dzienniku”. Do najświeższych wypadków bieżącego tygodnia zaliczyć należy wydalenie z fabryki p. Poznańskiego inżyniera, za pobicie majstra tejże fabryki; p. K. znanym jest szerszemu ogółowi z kilku wystąpień w prasie warszawskiej w obronie swego pryncypała, ze skandalicznej sprawy o najście domu adwokata Łaganowskiego, oraz z nieludzkiego obchodzenia się z robotnikami, wśród których z powodu jego usunięcia panuje radość niesłychana. W początkach przyszłego miesiąca przyjeżdża do naszego miasta Helena Modrzejewska i wystąpi w kilku przedstawieniach na cele dobroczynne i na teatr tutejszy, którego interesy w ostatnich czasach znacznie się pogorszyły”.

Z CESARSTWA.

Wilno. (Kor. „Głosu”). Jak wiadomo powszechnie, w celu zmniejszenia liczby żydów, uchylających się od służby wojskowej, wydano przed kilkoma laty przepis, na mocy, którego rodziny żydów, którzy nie stają do popisu, skazywane są na 300 rublowe kary. Spodziewano się ogólnie, iż środek ten, jako wymierzony przeciwko najczulszej stronie żydów — kieszeni, zapobiegnie uchylaniu się ich od powinności wojskowej. Jak przekonywają jednak cyfry z lat ostatnich, mnóstwo żydów po dawnemu do popisu nie staje. Ze sprawozdania np. komisji rekruckich widzimy, że w czasie ostatniego poboru w gub. np. wileńskiej powinno było stanąć do popisu: chrześcijan 11,853 osób i żydów 2,238. Nie zjawili się wcale do popisu: chrześcijan 278, czyli 2,3%, zaś żydów... 339, czyli 15%. Stosunek ten dostrzedz się daje we wszystkich guberniach litewsko-białoruskich. W sześciu tych guberniach skazano na kary 300-rublowe w grudniu r. z. 2,282 rodzin, łącznie na sumę 684,600 rs. Jeśli uwzględnimy również Królestwo Polskie i „Kraj południowo-zachodni”, to się okaże, iż za niestawienie się do popisu w czasie poboru z r. z. skazano na kary

ogółem 5,000 rodzin żydowskich, ogólnie na sumę... 1 i pół miliona rs! — Wystawa wileńska zapowiada się w r. b. o wiele lepiej, niż w latach poprzednich. Pożądany jest bardzo napływ drobnych wytwórców, jak z miasta tak i ze wsi. Udział w wystawie tegorocznej mogą przyjąć wystawcy z Królestwa Polskiego nie tylko w dziale przemysłu domowego, lecz i we wszystkich innych, jednak po za konkursem. Udział drobnych wytwórców z Warszawy zapowiada się bardzo licznie. M.

M i n s k. (Kor. „Głosu”). Kolej libawsko-romeńska przejdzie do skarbu stanowczo w r. b. — Wśród żydów tutejszych prowadzi się obecnie zaciekle agitacja przeciwko prezydentowi miasta, hr. K. Czapskiemu, który interesów różnych geszefciarzy nie popiera: żydzi przywykli u nas do czego innego. Działalność obecnego prezydenta jest istotnie pod każdym względem godną uznania. Takiego prezydenta miasto jeszcze nie miało. Dr.

M i n s k. Rozprzedaż dóbr ks. Hohenloe posuwa się dosyć powoli. Z całego obszaru sprzedano dotychczas około 190 tys. dziesięcin; pozostaje do sprzedania przeszło 650 tys. Większość transakcyj zawarto z prywatnymi osobami pochodzenia szlacheckiego, przeważnie z Rosyi centralnej. Około 10% sprzedanej ziemi przeszło w ręce chłopów. W powiecie witebskim, na 27 tys. dzies., dotychczas sprzedanych, chłopci nabyli 11 tys. Rozmiary poszczególnych obszarów, ulegających sprzedaży, są rozmaite: od 200—300 dzies. do 64 tys. dzies. Większość z nich obejmuje 1,000—1,200 dzies. Daje to dostateczne pojęcie o kierunku, w jakim postępuje sprzedaż ziemi pod względem społeczno-ekonomicznym. Kolosalne dobra ks. Hohenloe zostaną podzielone na mnóstwo wielkich majątków. Posiadłość chłopska właściwie nie wiele na tej sprzedaży skorzysta. — Mińsk został silnie zaniepokojony pogłoskami o projektowanym przeniesieniu zarządu kolei libawo-romeńskiej do Wilna lub do Libawy. Dla miasta byłaby to strata rzeczywiste niepowetowana, choćby ze względu, że zmniejszyłaby się niezmiernie i tak niewielka ilość miejscowej inteligencji. Ze kupcy i kamienicznicy najbardziej to odczuwają, tego nie trzeba także tłumaczyć. *Wileński Wiestnik* jest zdania, że względ, który skłania do przeniesienia zarządu do Wilna, nie jest praktycznym, bo cała oszczędność, jaką chcą widzieć w połączeniu kontroli tej kolei z istniejącym już w Wilnie biurem kolei poleskich, przedstawia ją zbyt problematycznie. Natomiast Libawa, jako centrum handlu wywozowego dla rynku północno zachodniego Rosyi, posiadająca przytem giełdę, przedstawia dla zarządu drogi punkt daleko dogodniejszy.

K i j o w. Podług informacji gazety *Kijewlanin*, ostatnimi czasy zauważyć się daje wśród żydów kijowskich znaczny popęd do przyjmowania wyznań chrześcijańskich. Do prawostawia niezbyt się garną, chętniej przyjmują luteranizm. Dodać trzeba, że chrzczą się tylko ci żydzi, którym grozi wysiedlenie z Kijowa. Bywają wypadki, że żyd, wysiedlony z miasta, po pewnym czasie wraca już jako prawy obywatel grodu, bo przechrzczony. Jak łatwo pozbywają się swej religii, dowodzi fakt jeden. Policja np. proponuje pewnemu żydowi, który wrócił prosto z Syberii, żeby opuścił miasto; nazajutrz ten przynosi do biura świadectwo, iż przygotowuje się do chrztu, a po kilku dniach drugie, że się już ochrzcił. Twierdzą, że ruch ten wśród żydów obecnie zwiększył się niopomiernie z powodu wysiedleń żydów rzemieślników z Moskwy i gub. moskiewskiej. Podług zapewnień żydów kijowskich, już w roku bieżącym w Rosyi przyjęło prawosławie przeszło 50 tysięcy żydów.

Z ZAGRANICY.

Kraków. (Kor. „Głosu”). Nowa, niezwykła fundacja przypada w udziale krakowskiej akademii umiejętności. Oto, podkrawczy rodem z Andrychowa niejaki *Józef Curzydło*, którego starzy ludzie z przed lat 40-u dobrze jeszcze pamiętają — zapisał wspomnianej instytucyi naukowej 40,000 złr. na cele wydawnicze. Curzydło, po wyzwoleniu się na czeladnika, pracował dłuższy czas w Wiedniu, a następnie osiedlił się w Bernie morawskim, gdzie przy ciężkiej pracy i rzadkiej oszczędności, dorobił się pokaźnej fortunki. Przed miesiącem schorzał staruszek dowiedział się z praskiej „Politik” o działalności naszej akademii, potrzebującej wciąż zasiłków i po porozumieniu się z delegatem, d-rem Smolką, zapisał jej poważną sumę 40,000 złr. jako „fundusz Józefa Curzydła dla popierania badań historycznych”. W akcie fundacyjnym zastrzeżono, że w razie, gdyby akademija przestała istnieć, legat ma przejść na własność tutejszej gminy. Oddając należne p. Curzydło uznanie za szlachetną, tak chlubnie o jego zaletach umyślnie świadcząca ofiarę, nie możemy się powstrzymać od wyrażenia życzenia, aby akademija zechciała w przyszłości szerszą i głębszą rozwinąć działalność na

polu nauki, głównie zaś, aby, zdala od koteryjnych ambicji, oraz politycznych wpływów i niechęci zmierzła jedynie w kierunku zakreślonym jej posłannictwem. — Minister oświaty zatwierdził już podobno nominację d-ra Władysława Natanson, warszawianina, na docenta fizyki przy uniwersytecie krakowskim. Docent historii przy naszej wszechnicy dr. Br. Dembiński ma zostać profesorem we Lwowie, wykłady zaś jego w Krakowie obejmie dr. St. Krzyżanowski. Na docenta literatury polskiej habilitować się będzie tutaj wkrótce dr. Konstanty Górski. — Komitet gospodarczy IV zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, zapowiedzianego w Krakowie na dni: 17, 18 i 19 lipca b. r. ułożył już program obrad i rozrywek dla gości. Podczas kongresu urządzoną będzie wystawa sanitarna i wynalazków naukowych. — Biblioteka uniwersytetu Jagiellońskiego miała z końcem roku 1889 dzieł 190,873 w 251,156 tomach, 1,688 atlasów, 4,950 rękopisów i 1,608 utworów muzycznych. — W ciągu roku 1890-go wypożyczyło z biblioteki 552 osób około 6,500 książek. Liczba gości zwiedzających bibliotekę, której dyrektorem jest p. Estreicher, wynosiła 3,944. — Teatr nasz wystawił 18 z. m. głośny dramat Sardou p. t. „Thermidor”, który, pomimo starannej gry artystów, nie wywarł na publiczności silniejszego wrażenia. Występ pierwszy p. Flach Ortyńskiej udał się dobrze. W połowie miesiąca przybywa do nas znowu p. Modrzejewska. *Vox.*

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Oczekiwany z pewną trwogą dzień 1 maja przeszedł względnie dość spokojnie. W Paryżu poczyniono znaczne przygotowania, między innymi polecono właścicielom składów broni zamknąć w ten dzień sklepy i usunąć swój towar w miejsce bezpieczne. Telegram Agencji północnej zapewnia, że dzień 1 maja przeszedł w Paryżu spokojniej, niż w r. z. Zbiegowiska w ciągu dnia rozpędzono bez trudu, aresztowano 100 osób, których większość na drugi dzień uwolniono. W jednym tylko miejscu doszło do poważniejszego starcia, w którym manifestanci zranili śmiertelnie 4 policyjantów. Kilka deputacji robotniczych złożyło petycje do izby na ręce prezydenta Flaqueta. Gorzej rzecz się miała na prowincyi. W Lyonie zginęło kilku żołnierzy, a wiele policyjantów raniono. W Fourmies (dep. Nord) wojsko strzelało do ludu: 14 osób zabito, kilkudziesięciu raniono, wiele aresztowano. W Bordeaux poczyniono też liczne aresztowania.

We Włoszech, według tejże agencji świętowała niewielka względnie ilość robotników. W Rzymie król objeżdżał dzielnice robotnicze, przyjmowano go gorąco, po południu wszakże doszło do starcia z wojskiem, w którym zabito 1 robotnika, zraniono zaś 5 cywilnych i 9 żołnierzy. Dość liczne zebrania odbyły się też we Florencyi.

W Berlinie pracowano zrana we wszystkich fabrykach, wieczorem odbyły się liczne mityngi w zupełnym porządku. W Wiedniu panował wzorowy porządek. W Praterze zgromadziło się przeszło 100,000 robotników. Cesarz przejeżdżał zrana ulicę, przyjmowano go życzliwie. W Pradze porządek był wzorowy, udział zaś w zgromadzeniach mniejszy niż w r. zeszłym. W Hiszpanii (za wyjątkiem Barcelony) nie doszło również do żadnych zaburzeń. W Belgii wzburzenie było znaczne. W Anglii święcono dzień 3, a nie 1 maja, porządek nie został zakłóconym.

Izba panów austriackiej rady państwa przyjęła jednomyślnie adres, zaprojektowany przez hr. Falkenhayna. Nie tak łatwo rzecz idzie w izbie poselskiej. W Komisji adresowej Plener w imieniu lewicy wystąpił z kilku poprawkami do projektu pr. Bilińskiego, wskutek zaś odrzucenia ich Plener postanowił wnieść do izby własny swój projekt. Młodocześni wystąpili również z własnym projektem. Żądają oni w nim zupełnego równouprawnienia ludów słowiańskich w Czechach, Morawii i Szlązku, powszechnego głosowania w całym państwie, wreszcie przypominają prawa historyczne korony czeskiej i obietnice cesarskie w tym względzie. Adres napisany jest wogóle bardzo dobrze, odznacza się wielką siłą, zauważyć należy, że i młodocześni kładą silny nacisk na jedność monarchii. Adres młodoczeski nie ma, naturalnie, żadnych szans powodzenia. Obliczają, że adres Bilińskiego, nawet w razie opozycji niemieckich liberałów, pozyska jakie 12—15 głosów większości.

W sejmie pruskim było kilka ciekawych posiedzeń. Na jednym z nich generał Caprivi zawiadomił, że rząd funduszami Welów zmieniony zostanie w ten sposób, że kraj będzie mógł kontrolować wydatkowa-

nie tych sum. Rachunki za ostatnie 20 lat były corocznie palone, część sum oddawana była do rozporządzenia ministrom finansów i spraw wewnętrznych, większa zaś prezydentowi ministrów (t. j. ks. Bismarkowi). Procenty od tego funduszu szły głównie na sekretne wydatki z dziedziny polityki zewnętrznej. Izba, zdaniem generała, nie może rościć pretensji do poprzedniej gospodarki tym funduszem, bo, wiedząc w głównych rysach o sposobie użytkowania z tych sum, nie wyrażała nigdy żadnego niezadowolenia.

Na dwóch posiedzeniach toczyły się rozprawy antysemickie. Na pierwszym z nich powodem była interpelacja Rickerta. Spytał on mianowicie rząd, czy istotnie wydany został przez prezesa sądu apelacyjnego we Wrocławiu cyrkularz, polecający możliwie ograniczać udział żydów w sądach przysięgłych. Ministerjum potwierdziło istnienie cyrkularza i objaśniło go smutnym doświadczeniem, w każdym razie niema postanowienia ogólnego w tym względzie. Interpelacja dała powód do burzliwych rozpraw. Na drugim posiedzeniu dyskusję wszczął konserwatysta Hammerstein, zapytując o rozporządzenie prezesa sądu w Celle, który przetrząsnął kilku referendarzów za to, że nie chcieli przyjąć kolegi Benfeya, żyda z Hanoweru. Minister potwierdził fakt, dodając, że jedynym zarzutem przeciwko Benfeyowi było jego żydowskie pochodzenie. Deputowany Brandenburg (z centrum) wystąpił z ostrą filipiką przeciwko żydom, narodowo-liberalny Lubrecht, potępiając referendarzów, sądził jednak, że nie można zmuszać nikogo do przyjmowania do towarzystwa osób niesympatycznych.

Wreszcie dość zajmującymi były rozprawy o komisy kolonizacyjnej. Generał Caprivi w wyrazach łagodnych i uprzejmych oświadczył, że żadnej zmiany w polityce kolonizacyjnej nie będzie. Liberalny konserwatysta Tiedemann wyraził swą radość z tego oświadczenia, dodając, że niedawne rozporządzenie, dozwalające na udzielanie w szkołach prywatnych w Poznaniu lekcji języka ojczystego, wzbudziło niepokój powszechny.

Książę Bismark wyszedł zwycięsko z wyborów ścisłych w Gestemünde, jakkolwiek i tym razem zgromadził mniej głosów, niż jego poprzednik z tego okręgu. Wyborcy okręgu, którego przedstawicielem był Moltke, ofiarowali Bismarkowi kandydaturę, ale książę oświadczył, że przyjął już stanowczo wybór w Gestemünde. Upadek Bismarka prasa ruska powitała w swoim czasie z radością, zauważono jednak i wtedy już, że prasa austriacka nie wyraziła także żadnego żalu z tego powodu. Obecnie coraz bardziej występuje na jaw niechęć Bismarka dla Austrii. Ostatnim przejawem tej niechęci jest artykuł *Hamb. Nachr.* o armii austriackiej, w którym organ przyboyczny eks-kanclerza utrzymuje, że armija austriacka jest gorzej wyćwiczoną od ruskiej i wogóle niewielkiej jest wartości, stąd gazeta wyprowadza wniosek, że przyjaźń austriacka nie ma żadnego dla Niemiec znaczenia. Artykuł wywołał ogromne oburzenie w Austro-Węgrzech. Książę Bismark będzie miał wkrótce możność urzędowego wystąpienia przeciw Austrii z powodu traktatu handlowego, który w dniu 3 maja podpisany został w Wiedniu.

W izbie francuskiej rozpoczęły się obrady celne. Z wielką mową przeciw protekcyjnizmowi Meline'a wystąpił Lockroy. Poparł go przedstawiciel Lyonu, Aynard, żądając stopniowego przejścia do wolnego handlu. Natomiast Viger oświadczył się za protekcyjną, wszakże i on żądał pewnej modyfikacji projektu Meline'a.

W izbie włoskiej burzliwe sceny odegrały się w czasie obrad nad polityką kolonialną, Imbriani i Daniele domagali się, wobec ostatnich niepowodzeń z Menelem, zupełnego wycofania się z Afryki. Menotti Garibaldi, przyznając fatalne warunki kolonii masowskiej, wypowiedział się za pozostaniem głównie dla honoru. Bonghi zaś utrzymywał, że należy zaczekać z wydaniem sądu do powrotu komisji urzędowej, do Massowy wysłanej.

W Anglii coraz bardziej wzrasta przekonanie, że rząd rozwiąże izbę w roku bieżącym i że wystąpi on na wyborach pod hasłem bezpłatnej szkoły ludowej. Możliwość prędkiego rozwiązania stwierdził lord Salisbury w mowie, wygłoszonej na posiedzeniu „ligi pierwiosnku”. Ta ostatnia jest organizacją, szerzącą „ideę torysowską” wśród społeczeństwa, szczególną gorliwością w tej mierze odznaczają się kobiety z wyższych sfer towarzystwa. Liczba członków ligi wynosi 1,002,097.

W celu skłonienia królowej Natalii do wyjazdu przyjeżdżał hr. Hunyady z Węgier (blizki krewny domu królewskiego), misja jego jednak rozbiła się o upór królowej.

Władze tureckie przetrzymały długo u wejścia do Bosforu statek ruski „Kostroma”, płynący pod flagą

handlową. Poseł Nelidow zażądał 1,000 f. st. odszkodowania i ukarania winnego komendanta.

Reichsanzeiger ogłasza, że według otrzymanych wiadomości, strejk górników w okręgu reńsko-westfalskim, w którym dotąd wzięło udział kilkadziesiąt tysięcy robotników, zaznaczył się znowu tem, że strejkujący nie zawiadomili poprzednio o zawieszeniu roboty i nawet nie objaśnili przyczyn strejku. Wskutek tego polecono władzom górniczym i administracyjnym, żeby odmawiały robotnikom wszelkiego pośrednictwa.

Słowo donosi z wiarogodnego źródła, że arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim mianowany został ks. biskup Likowski.

KRONIKA Powszechna.

— **Rozporządzenia rządowe.** Ministerjum oświaty po porozumieniu się z ministrem finansów, wypracowuje projekt założenia w Cesarstwie wyższego instytutu handlowego, którego zadaniem ma być kształcenie nauczycieli dla średnich szkół handlowych, oraz agentów handlowych. — Wniosek kontrolera państwa, dotyczący zorganizowania specjalnego wydziału, mającego rewidować rachunki dróg żelaznych prywatnych, nie ulegających bezpośredniej kontroli państwowej, został sankcjonowany przez Radę państwa, która wyasygnowała 35,000 rs. rocznie na koszt utrzymania tego wydziału. — Ministerjum dóbr państwa zarządza ścisłe badanie stosunków rolnych we wszystkich okręgach państwa, a to w celu pozyskania dokładnego obrazu stanu rolnictwa w różnorodnych warunkach klimatycznych, oraz w większych i mniejszych majątkach ziemskich.

— **Kronika społeczna.** Ostatni, co dziesięć lat powtarzający się, spis ludności w Austro-Węgrzech dowiódł dość szybkiego zmniejszenia się ilości Niemców w krajach korony św. Wacława. W samej Pradze na 146,000 Czechów spis urzędowy wykazał zaledwie 27,128 Niemców czyli o 4,000 mniej, aniżeli dnia 1 stycznia 1881 r. Cyfra ta zresztą jest bardzo problematyczną. Dzienniki bowiem na podstawie dokumentów udowadniają, że naprawdę w Pradze mieszka zaledwie 20,000 Niemców, a z tych 15,000 Izraelitów. Podczas spisu bowiem przedewszystkiem władze wojskowe kazały wszystkim oficerów i żołnierzy zapisać jako Niemców, następnie zaś również fabrykanci Niemiec, oraz kupcy zmusili, pod groźbą wypędzenia ze służby, wszystkich swoich robotników i służących zaprzeć się narodowości czeskiej. Takie same zjawiska zanotowano i w miastach prowincjonalnych. — W jesieni r. b. ma być urządzona w Łodzi wystawa tkacka. Projekt zyskał poparcie fabrykantów z Łodzi, Zgierza, Pabianic i Tomaszowa. — Pabianicka firma przemysłowa Krusche i Ender ponownie powiększa swoje zakłady przez wybudowanie gmachu, przeznaczanego specjalnie na pomieszczenie blicharni. Mają być również powiększone przedziałnia i tkalnia tej firmy jeszcze w ciągu roku bieżącego. — Wedle sprawozdania Rady miejskiej dobroczynności publicznej w r. 1889 w szpitalach warszawskich leczono się ogółem 28,520 osób, a w rozmaitych zakładach dobroczynnych przebywało starców i dzieci 7,534, w ambulatoryjach z bezpłatnej porady i pomocy lekarskiej korzystało 128,165 osób. Majątek nieruchomości zakładów wymienionych przedstawiał wartość 3,196,114 rs., z tej sumy tylko 1,310,156 rs. daje dochód. W r. 1889 Rada przyjęła ofiarowane na cele dobroczynne zapisy w sumie 248,321 rs. — W gubernii radomskiej znajduje się 118 szkół wiejskich, do których uczęszcza obecnie 7,869 uczących się, w tej liczbie 5,316 chłopców i 2,553 dziewcząt. Najwięcej szkół znajduje się w powiecie opatowskim, mianowicie 21, w powiecie łżeckim 20, sandomińskim 18, opoczyńskim 17, radomskim i kozienickim po 15 i w końskim 12. Utrzymanie wszystkich szkół kosztuje rs. 27,404 kóp. 72 rocznie. Przy każdej szkole znajduje się cokolwiek gruntu, wynoszącego przy wszystkich szkołach 436 mor. 292 prętów. — Zjazd przemysłowców górniczych, oraz fabrykantów żelaza ma być zwołany, jak donoszą „Birż. Wied.”, wkrótce po ogłoszeniu nowej taryfy celnej.

— **Kronika ekonomiczna.** Dochód z podatku szarwarkowego na utrzymanie dróg i mostów w gubernii warszawskiej wyniósł w r. z. 144,805 rs., a wydatki 193,901 rs., czyli o 49,096 rs. więcej nad osiągnięte wpływy. Największy rozchód był w powiecie błońskim, gdzie reperacje dróg kosztowały 15,170 rs., w powiecie wrocławskim na odnowienie mostów wydano 10,757 rs., wogóle zaś w całej gubernii konserwacja dróg kosztowała 104,372 rs., mostów zaś 52,164 rs.; na utrzymanie służby drogowej wydatkowano 18,814 rs. — „War-

szawskij Dniownik”, omawiając kwestyję opłaty za przewóz kolejną, wyższej od towarów, idących do Cesarstwa, niż odwrotnie, przytacza ciekawe dane statystyczne, które poniżej podajemy: W roku 1889 wywieziono z Królestwa Polskiego za pośrednictwem warszawskiej agentury „ruskiego towarzystwa żegluga i handlu”, morzem Czarnem do kraju Zakaukaskiego, Persyi i na rynki średnio-azyjatyckie 894,120 pudów różnego towaru, a mianowicie: cukier do Persyi, rury do naftociągu, towar manufaktury łódzkiej, wstążki i t. d. W ciągu tegoż roku przywieziono z portów ruskich i zagranicznych morzem Czarnem dla dalszego transportowania do Królestwa 659,349 pudów różnego towaru, a głównie bawełny, zwłaszcza amerykańskiej, indostańskiej i egipskiej, a po części bucharskiej. W ogóle przywóz bawełny, który dawniej szedł przez Gdańsk, a następnie Wisłą do Włocławka i stąd kolejną wiedeńską przez Koluszki do Łodzi, lub wprost z Głańska drogą żelazną przez Bydgoszcz, Aleksandrów i Koluszki do Łodzi, — od czasu podwyższenia cła od bawełny, przywożonej przez granicę zachodnią, skierowany został na Odosę, skąd drogami żelaznymi południowo-zachodnimi transportowany bywa do Królestwa. W r. 1890 wywóz towarów z Królestwa morzem Czarnem do kraju Zakaukaskiego, Persyi i średniej Azji wzrósł w porównaniu z rokiem poprzednim o 112,992 pudów i stanowił 1,007,112 pudów. Wzrost wywozu dotychczas nie ustał i w roku bieżącym czyni postępy. Przywóz towarów z portów morza Czarnego w r. z. wynosił 738,914 pud., to jest powiększył się o 80,565 pud. Pierwsze miejsce między przywiezionymi towarami zajmują bawełna średnio-azyjatycka, a główne artykuły wywozowe w 1890 r. i w r. b. są te same co w r. 1889. — Według „Nowego Wremeni”, drogi żelazne rządowe, eksploatowane bezpośrednio przez rząd, mają wogóle długości 13,099 wiorst, w szczególności: poleskie 1,414 w., zakaspiska 1,343 w., saratowsko-wiazemska 1,280 w., libawo-romeńska 1,191 w., charkowsko-mikołajowska 1,031 w., uralska 1,016 w., zakaukaska 981 w., kursko-charkowsko-azowska 763 w., saratowsko-zlatoustowska 753 w., ekateryneńska 490 w., kursko-saratowska 428 w., petersbursko-ryzka 365 w., muromska 107 w., baskunczacka 72 w., liwowska 57 w., fińlandzkie 1,807 wiorst. Drogi żelazne rządowe, eksploatowane przez towarzystwa prywatne, obejmują 947 wiorst, mianowicie: mikołajowska 609 w., portowa 31 w., wiazemsko-rzewska 116 w., brzesko-chelmska 106 w., siedlecko-malkińska 62 w., rysko-bolderska 17 w., odnoga terespolska 6 wiorst. Nareszcie drogi żelazne prywatne, należące do towarzystw akcyjnych i przez nie administrowane, obejmują 16,330 w. — Od dnia 1 stycznia do dnia 12 zeszłego miesiąca ogółem przez wszystkie komory celne wywieziono 82,019,000 pudów zboża, w roku zaś zeszłym w tymże czasie 68,989,000 pudów; po dokonaniu poprawek i uzupełnień ze strony władzy, wykazuje dochodów zwyczajnych rs. 2,942,683, zwrotnych rs. 107,755, nadzwyczajnych rs. 297,899, razem rs. 3,348,338. Wydatki czynią: zwyczajne 2,928,416, zwrotne rs. 107,755, nadzwyczajne rs. 297,899; razem rs. 3,334,071.

— **Literatura i sztuka.** Drukowany w „Głosie” i wydany następnie w broszurze „Kwestyjonyaryusz w sprawie czytelnictwa ludowego” A. Potockiego i Z. Wasilewskiego, jak nam zakomunikowano, ma być zastosowany w odpowiedniej przeróbce, do badań nad oświatą ludową w Rosyi. Wydaniem kwestyjonyaryusza zajęło się grono ludzi w jednym z południowych miast ruskich. — W jednym z ostatnich numerów „Kaliszanina” spotykamy sprawozdanie i bardzo korzystną ocenę powieści „Bellamy'ego „Sposób dla Heindenhoffa”, drukowanej w r. b. w powieściowym dodatku do „Głosu”. Powieść tę mamy zamiar wydać oddzielnie. — Pierwszy majowy poszyt paryżkiej „Réforme sociale” zamieszcza obszerny elaborat p. S. Klobukowskiego „O emigracji polskiej”, poczynawszy od XVI i XVII wieku aż do dni naszych. — W paryżkiej „Nouvelle Revue” zamieszczono świeżo studyjum p. A. Wodzińskiego p. t. „Adam Mickiewicz et Maryla”. — Dramat hr. Rzewuskiego „Cesarzowa Faustyna”, pomimo wad, wytykanych przez krytyków francuskich i niemieckich, nie schodzi z afisza teatru „Porte Saint-Martin”. Ma być wkrótce wystawiony w Austrii i Włoszech; Niemcy nie chcą go sobie przyswoić podobno z powodu okrzyku wojsk rzymskich w dramacie: „Śmierć Germanom!” Dokonanie polskiego przekładu autor powierzył p. Gabryeli Śnieżko-Zapolskiej. — Romans z wiedeńskich król dworskich „Edgara von Schönberg p. t.: „Johann Orth. Das Recht auf Arbeit” (Prawo pracy) ukazał się w ciągu jednego miesiąca w 4-em wydaniu J. Bensheimer'a w Mannheimie.

— **Rozmaitości.** Z danych statystycznych berlińskich o dochodach kolejowych w r. 1889 okazuje się, że tylko w Niemczech i Belgii drogi żelazne rządowe przynoszą stosunkowo większy dochód niż prywatne, gdy tymczasem w Austrii, Francji i Holandyi, oraz we Włoszech dzieje się przeciwnie. I tak, w Niemczech drogi żelazne rządowe dały czystego dochodu z jednego kilometra

około 15,000 marek (510,605,584 marki z 34,942 kilometrów), prywatne tylko 7,800 m., (33,021,504 m. z 4,227 kil.); w Belgii drogi rządowe 20,800 m. (66,977,870 m. z 3,209 kil.), prywatne 12,800 m. (20,364,716 m. z 1,682 kil.). Natomiast w Austrii było czystego dochodu z dróg rządowych 9,000 m. (122,225,120 m. z 13,530 kil.), z prywatnych zaś 13,700 m. (148,661,527 m. z 10,769 kil.); we Francji z dróg rządowych 3,000 m. (7,629,760 m. z 2,597 kil.), prywatnych zaś 18,500 m. (554,462,485 m. z 29,743 kil.); w Holandji z pierwszych 6,900 m. (10,083,748 mar. z 1,464 kil.), drugich 14,000 marek (5,056,869 m. na 364 kil.); nareszcie we Włoszech drogi żelazne przyniosły czystego dochodu z jednego kilometra 6,800 marek (58,603,674 m. z 8,641 kilometrów). Przytoczone wyżej cyfry objaśniają po części gospodarstwa kolejowe w różnych krajach. — Prasa socjalno-demokratyczna w Niemczech rozporządza obecnie 128 organami. Z liczby tej jest 74 pism politycznych i 54 fachowo-rzemieślniczych. Z pomiędzy politycznych wychodzi: 27 codziennie, 33 trzy razy na tydzień, 7 dwa razy na tydzień, 12 raz na tydzień, 3 co dwa tygodnie, 1 co miesiąc, 1 co sześć tygodni. Pisma fachowo-rzemieślnicze wychodzą: 1 trzy razy na tydzień, 23 co tydzień, 3 trzy razy na miesiąc, 23 dwa razy na miesiąc, 4 raz na miesiąc. — Najgłębszym szybem górniczym jest szyb św. Wojciecha, w kopalniach srebra w Przybramie w Czechach. W r. 1779 szyb ten sięgał dopiero do głębokości 21 metrów, a w r. 1875 pogłębiono go do 1,000 metrów, a zatem na 451 metrów niżej poziomu morza. W głębokości 900 metrów wyuosiła ciepłota szybu 22° Cels. Daleko głębsze od kopanych, są szyby wiercone. Szyb taki przy wsi Schlade-

bach pod stacją Koetschau w Saksonii, ma 1,748,4 metrów głębokości. Jest to głębokość taka, że aby ją sobie wyobrazić na jawie, trzeba by wieżę tumu kolonjskiego 11 razy postawić na sobie. Świdrowanie tej dziury trwało sześć lat, kosztowało zaś 210,000 marek. Do znacznej głębokości doszły także następujące szyby wiercone: w Sleszwigu pod Elmsborn na 1,338 metrów głębokości, przy Unseburgu pod Magdeburgiem na 1,295 metrów, przy Sprembergu niedaleko Berlina na 1,272 metrów, przy Sennewitz, niedaleko Halli na 1,111 metrów, przy Dermut tamże na 1,000,2 metrów. — Wyprawę do bieguna południowego organizują towarzystwa geograficzne stocholmskie i melburnskie. Kierownictwo wyprawą obejmuje znany podróżnik i badacz Nordenskjöld. Świat naukowy bardzo wiele spodziewa się po wyprawie, jeżeli lody nie staną na przeszkodzie podróż.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

Pp. Chei-rusowi w S i Rent... w Bob. Pomimo szczerych chęci nie mogliśmy.

P. Radz. w Pet. Wysłane do p. Krask w Od. książki kosztują: Iwaniukow rs. 2 kop. 50, Schäfle 50 kop., Bellamy 60, „Gawędy” 30, przes. 47, razem rs. 4 kop. 37, dodając zaś „Gawędy” dla pana, cała należność wyniesie rs. 4 kop. 67.

P. Lask. w Sz. „Lalka” rs. 4, „Podarunek” kop. 40, przes. 60, razem wydaliśmy 5 rs.

P. Zar. w Ostrołęce. Przesyłka „Metody” kosztowa-

ła 45 kop., cenę książki właściciel (niezamożny uczeń) pozostawia do uznania pana.

P. Wyk. Ściągsk. „Instyt. Obrz.” 1 rs., 3 egz. „Gawędy” 90 kop., przes 10 kop., razem rs. 2.

P. Dor. w Modr. „Gawędy” wysł.

P. Dek. „Gawędy” i nr. 7 „Głosu” wysł.

P. Wierzb. w Szczer. „Metoda” już została kupioną.

Czyl. Akad. w Krak. Żądane 2 egz. ustąpić możemy za rs. 5 z przes.

Tow. „Zgoda” w Rio di Janeiro. Na warunki panów zgadzamy się. Wysyłamy n-ry od 1 kwietnia i przesyłamy życzenia powodzenia.

Nakładem Głosu wyszło z druku
dzieło

Herberta Spencera

pod tytułem

INSTYTUCYJE POLITYCZNE

któmaczone z oryginału przez

J. K. Potockiego.

Cena rs. 2 kop. 40.

Dla prenumeratorów „Głosu” rs. 1 k. 80.

Są do nabycia jeszcze I i II zeszyty **INSTYTUCYJ POLITYCZNYCH** po cenie 80 i 60 kop. Dla prenumeratorów „Głosu” cena 60 i 45 kop.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: ulica Niecała
Nr. 12.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedia
Encyklopedia
Encyklopedia
E. H.
Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opła- Wychodzi mniej więcej
conego z góry 2 rs. w odstępach tygodn.

Wyszedł z druku zeszyt XLVI.

DIWANY, wszelkie pokrycia
meblowe, Kołdry,
Kapy, Chodniki,
Serwety, najlepiej kupować w głów-
nym składzie Gietzińskiego, Mar-
szałkowska 137.

Dzwonki elektryczne, Telefony, Piorunochrony, Ochronniki przed kradzieżą, według najświetniejszej konstrukcyi, urządza w mieście i na prowincyi pod gwarancją i najtaniej zakład optyczno-elektryczny Juliana Drechera (Szpitalna Nr. 6). Tamże wielki wybór Okularów, Binokli, Lornetek, Termometrów, Narzędzi chirurgicznych, drutów, elementów, przycisków i t. p. PP. mechanicznie stosowny rabat. Przyjmuje reperacyję.

DOSTAWCA DWORU

Cesarско - Austryjacko - Węgierskiego.



„EXSICCATOR”

Niszczy grzybek drzewny i osusza wilgoć raz na zawsze i t. p.

Broszurkę, niezbędną dla każdego budującego wysłać franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. G. RITTER
Królewska Nr. 39.

We wszystkich księgarniach i w redakcyi „Głosu” jest do nabycia książka dla ludu p. t.

O SUCHOTACH CZYLI GRUŻLICY
jak się tej choroby wystrzegać

napisał

Sewer Ster, lekarz.

Cena 2½ kop. (pięć groszy).

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga Plato v. Reussnera

NAJLEPSZA METODA

do nauczenia się bez Nauczyciela czytać pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-ech miesiącach, po angielsku w 24 lekcjach. Cena metody niemieckiej kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet, t. j. kurs niższy i wyższy razem, tylko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. Najlepszy Elementarz Polsko-Niemiecki i Rusko-Niemiecki z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop. 35, 30, 20 i 10 (oprawny kop. 45). Najnowszy Elementarz Polski z 20—40 wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem 340 Figur, tudzież ze wskazówkami pedagogicznymi k. 25, 20, 15, 10 i 5. Powiastki Polsko-Niemieckie 20 kop. Powieść Ali-Baba i 40 zbojców 15 k. Myśliwi Giezm, powieść 10 k. Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po k. 20.

Skład główny u autora (P. v. Reussnera) ulica Marszałkowska Nr. 142 w Warszawie.

Wydawnictwa „Głosu”

KWESTYJONARYJUSZ

W sprawie czytelnictwa ludowego
napisali

A. Potocki i Z. Wasilewski

Warszawa 1890 r., str. 24 w 16-ce
Cena 10 kop.

CO I JAK LUD NASZ CZYTA?

Kwestyjonaryjusz w sprawie wydawnictw ludowych
przez

M. BRZEZIŃSKIEGO.

Warszawa 1890, str. 16 w 16-ce
Cena 5 kop.

Wyszły z druku i są do nabycia we
wszystkich księgarniach

KÓŁKA ROLNICZE

W GALICJI

przez

Jadwigę z Szczawińskich Dawidową

(odbitka z Głosu).

Cena 15 kop.

S. PRZEZDZIECKI

Ceny
mierzone
Wybór
materiałów.

Kotzebue Nr. 2, róg Wierzbowej.
SPECYALNY MAGAZYN
UBIORÓW DZIECIENNYCH

Mandry, Szynce i Bluzy dla nieznów.
Kotzebue Nr. 2, róg Wierzbowej.

SZKICE FOTOGRAFICZE

z

„Zakutego-Grodu”

przez

Kazimierza Glińskiego

(Dalszy ciąg).

— Szepciecie ośle... stawiajcie aperturę, gdzie wam się podoba—przegrałem sprawę!...—wołał do otaczających go kołem.

Odpowiedziano serdecznym śmiechem i gra się znów rozpoczęła.

Ruch na polance nie ustawał aż do zachodu słońca. Pierwszy ksiądz Anioł wyszedł z kółka... Dosia rzuciła obręcz do księdza... ksiądz podbiegł, zakaszłał nagle, stanął i rękę przyłożył do piersi... Kropla krwi wybiegła mu na usta.

— Co księdzu?...—zawołała podbiegając pani Adela.

— Nie pomogły ani winogrona pani, ani kwiaty pani Honoraty.

Wręczył kij z kołkiem Adeli i zwrócił się do Dosi.

— Pani jesteś nieumęczona...

— A ksiądz już się znużył?

— Dość dla mnie tej wesołości! Chciałbym teraz pomówić z panią.

— A! prawda!...—służy księdzu...

Oparła kijek o ramię i oddaliła się z księdzem Aniołem w głąb lasu.

Adela i Honorata podbiegły do Jakokowicza.

— Pilnuj! — szepnęła pierwsza — i przeszła szybko.]

— Miej ich na uwadze!—podchodząc, rzuciła Honorata i wróciła do gości.

Jakokowicz złapał kółko i zakomenderował odwrót.

Wieczór był cichy, na zachodzie pas ognisty zostawiło słońce. Od rzeki powiał chłód wilgotny, las napełnił się wonią żywiczną sosen.

Dzięki staraniom Kiryły, samowar wrzał, bełkotał, a kilka czajników z herbatą stało gotowych na przyjęcie powracającego towarzysstwa. Każdy był spragniony i głodny.

— Jeś! jeś! wołano, rzucając się na murawę koło półmisków i talerzów.

Niestety! Sadłowski nie próżnował.

Zjadł całego indyka, większą połowę polędwicy, sześć kaczek, ze dwa łokcie kielbasy, parę słoików konfitur wypróżnił i wszystkie cukierki Dosi wyjadł. Wiele wypił butelek wina i araku z herbatą, nie wiadomo, bo szkło wszystkie, dla niepoznaki, do rzeki rzucił.

— Pani Sadłowski!—tożto zburzenie Jerolimy!—zawołały panienki, rączki załamując.

— Ja wam powiadam—muzyka!—huknął Ratatyński, szukając paszteta, który znikł jak kamfora.

— Najadłem się! — szepnęła Sadłowski, ocierając usta serwetą...

I dobywszy cygara pykać zaczął.

— Kto wie?—odezwał się trynitarz, siadając na wzgórku, opuszczonym przez mrówki, czy dla nas nie byłoby lepiej, żeby to, co ma wisieć, na ten raz utopiło się.

— Pani jesteś dziś w słodkim usposobieniu —mruknął sprawca spustoszenia.

— Jestem tylko głodna, a pan wszystko zjadłeś.

— Przetrąciłem—to prawda!... ale wolałem pożyteczniejszy czas przepędzić, niż fikać za kółkami.

— Gdzie arak? — wrząnął Ratatyński, zajęty poszukiwaniem przyniesionej z sobą butelki.

— Popływ z wodoju — odpowiedział poważnie Kiryło.

— Wylałeś?!...

— Pan Sadłowski wylał, a ja szkło u wodę huk!...

— Fasiu! — zawołał z wymówką doktor, obracając się do pana Kleofasa.

Sadłowski odparł spokojnie.

— Ty krew ludziom, a ja butelkom puszczam—i to medycyna!

— Muzyka! — podnosząc ramiona, prychnął Ratatyński...

— Doktorze!—odezwał się nagle Pistroński, trącając go delikatnie łokciem, i wyjąwszy z kieszeni cztery tomy jakiegoś dzieła, stuknął o nie dłonią...

Pan Aleksander pochylił się...

— „Jasełka”—Jezu!—krzyknął i rejterować począł.

Pistroń podsunął się do pana Kleofasa, ale ten do lasu pośpieszył.

Pożrabunku, dokonanym przez Sadłowskiego, musiano się dzielić okruchami. Panie rozlewały herbatę, mężczyźni krajali resztki mięsowa, Kiryło dał w samowar.

Jakokowicza nie było.

W pół pochylony, skradał się właśnie do krzaku leszczyny, za którym, na zwałonym pniu drzewa, siedzieli ksiądz Anioł i Dosia. Ale widocznie się spóźnił, bo zaledwie chciwe ucho nastawił, śledzeni podnieśli się i tylko zasłyszał krótkie pytanie Dosi:

— Gdzie?

I odpowiedź księdza:

— Na Dołkach.

Jakokowicz przysiadł do ziemi.

— Ludzie! czy wy się Boga nie boicie?—zawołał w duchu. Na Dołkach? tam gdzie ja... I to może za moich zadatkowych rubli piętnaście?... Biedny Henryczek! — szepnął z westchnieniem — orze, sieje... a tutaj?... O! Dosiu, Dosieczko!... przypomnę ci Oberona!...

Zaśmiał się.

— Wiem!... nakoniec wiem... No! a jak ja wiem, to bardzo wielu innych może wiedzieć. Zatarł ręce i uradowany, uśmiechnięty wpadł między uczujących.

Księżyc wznosił się wysoko, gdy znowu przy dźwiękach muzyki odbiły łodzie od brzegu. Ślizgały się drzące blaski po wierzchu fal, miarowo uderzały wiosła, orkiestra grała śpiewną barkarolę. Między ścianami skał sunęły się łodzie cicho, spokojnie. Pasterka miała oczy spuszczone w toń wodną, białą dłonią chwyciła nenufary, o liściach szerokich i kwiatach śnieżnych. Brzmiała pieśń smutna, dzwoniły fale, ciszę nocy przerywał tylko suchy kaszel księdza Anioła.

O ile dość łatwo było dostać się pieszo do mostku, o tyle droga powrotna przedstawiała pewne trudności. Potrzeba było dla skrócenia wędrówki, albo drapać się na dość stromą górę, albo, wymijając takową, spory kawał drogi i nałożyć. Godzina była spóźniona — zatem zgodzono się pójść górą.

Ksiądz Anioł przystawał, bo wielkie czuł zmęczenie, a gdy spostrzegł pierwsze szeregi, kierujące się na wyżynę — zatrzymał się, pozwolił przejść wszystkim, sam zaś skierował się na drogę dalszą znacznie, lecz mniej nużąco. Z całego towarzysstwa zauważyła tylko

Dosia jedna, że ksiądz Anioł cierpiący być musi. Widziała, jak sianiał się, oddychał ciężko i co chwila rękę do piersi przykładał. Podbiegła więc i pod pozorem znużenia, narzuciła się mu na towarzyszkę.

— Pani znużona? — szepnął ksiądz, podnosząc oczy na nią.

— Góra taka stroma—zawołała z uśmiechem Wolę tędy!

Ksiądz widocznie słabł, Dosia podała mu rękę. Wchodząc na przedmieście, posłyszeli za sobą gwałtowne ujadanie psa.

Miasto spało, dorożki nie napotkali—nim doszli do seminaryjum dobra godzina upłynęła.

— Dziękuję pani!—szepnął ksiądz.

— Wprowadzę księdza na schody.

— Czy i to pani czynisz ze znużenia?—zapytał głosem bardzo cichym.

Dosia nie odpowiedziała nic — podała ramię, które przyjął.

Szedł powoli, oddychał ciężko, chwiał się. Głos dzwonka rozbudził Kaspra.

Ksiądz zwrócił się do przewodniczki, uściśnął dłoń i szepnął.

— Domyśliła się pani, że osłabł... tak! Sambym nie przeszedł tych schodów... Dziękuję raz jeszcze—serdecznie dziękuję!—Jeżeli zdrowie mi pozwoli odwiedzę tych biednych; w przeciwnym razie pani mnie wyręczysz... Prawda?

Nie czekał odpowiedzi — wsparł się na ramieniu Kaspra i wszedł do pokoju.

Dosia szybko zbiegła ze schodów, nagle posłyszała kroki czyjeś, idące naprzeciw. Nie zatrzymała się, lecz zawadziwszy suknią o postać jakąś, zbiegła na dół.

— Kto to? co to?... he? ha?... — zawołał za nią znajomy głos księdza rektora...

Zniknięcie księdza i Dosi nie uszło uwagi naszych pań. Zauważyła to najpierw Adela, Honorata dwa razy obiegła górę, Kajcio kopnął się w przepaścisty rozdół.

— Czego się państwo tak rozbiegli? — spytał Sadłowski, gdy po pewnej chwili, Adela ukazała się z załomu góry, Honorata z cieniów drzew wyszła, a Jakokowicz z rowu się wysunął.

— Księdza niema!

— I pani Do-ro-ty! z przyciskiem — dodała Honorata.

Przycisk był znaczny i dziwnie uderzył słuch obecnych.

— Może nastąpiło wniebowzięcie? — huknął Ratatyński.

— Wniebowzięcie! — podnosząc oczy i ręce ku niebiosom, jęknął Jakokowicz.

Honorata i Adela przypadły do niego.

— To coś jest!

— Brylancie!—w ręce twoje powierzamy honor Zakutego-Grodu.

— Śpiesz się na zwiady.

— Ruszaj—marsz!

Jakokowicz był pewny, że udadzą się na Dołki.—Nie wiele myśląc, zawrócił się, zbiegł z góry i wypadł na drogę, którą przed chwilą szli nasi zbiegowi.

Księżyc świecił w pełni, ulica między dwoma parkanami podnosiła się lekko ku górze. Jakokowicz dostrzegł w znacznym oddaleniu od siebie dwa cienie: wysoka czarna postać księdza i Dosię. Dosia słabą ręką podparła omdlały krok chorego, Kajciowi wydało się, że ksiądz Anioł w objęciach trzyma Dosię. Postanowił przeszkodzić niecnym planom i na towarzysza się narzucić. Cóż było naturalniejszego?

Wyprostował nogi i ruszył lekkim galopem.

Ten kurs-galop poplątał szyki Kajcia.

Pod jednym z parkanów spał sobie pies kudłaty. Nie podniósł nawet głowy, gdy ksiądz z Dosią przechodzili w pobliżu, lecz wyciągnięty marsz - marsz Jakokowicza, zastanowił jedynego strażnika porządku tej części miasta. Warknął, zerwał się na równe nogi i wpadł na przeciw. Jakokowicz bał się psów, kotów, szczurów, krów — wrzasnął więc straszliwie i zaczął parasolem, który miał w ręku, wymachiwać na wszystkie strony. Pies się rozdrażnił i chwycił za jedwabny deszczochron. Nastąpiły zapasy. Jakokowicz ciągnął do siebie, pies do siebie... Walka trwała zawzięta, bo Kajcio stawał w obronie własności i bezpieczeństwa swej osoby—pies w obronie porządku publicznego. Zapaśnicy godni byli siebie. Lecz o ile Kajciowi sił brakło, o tyle tamtemu przybawało energii.

Jakokowicz musiał się poddać...

Pies wyrwał parasol podarty w szmat i wziął się do łydek pana Kajetana.

Na to oczywiście Jakokowicz pozwolić nie mógł. Przypadł do ziemi, pies odskoczył, on zerwał się nagle i jednym susem był na płocie.

Kundys przypuścił szturm do parkanu. Podskoczył parę razy, lecz nie dosięgnął nóg siedzącego jak na koniu Jakokowicza. Siadł więc na zadnich łapach u płotu, warcząc groźnie.

Pozycja pana Kajetana do wygodnych nie mogła się zaliczać. Parkan był nazbyt wązki, a wierzch jego nie odznaczał się niepokalaną gładkością. Tu sęk jakiś sterczał, tam gwóźdź wystawał, grzbiet zaś cały był pokryty bujnemi kroplami żywicy, na czem cierpiała niemało pewna część ubrania Jakokowicza. Do tego wszystkiego, lękając się o całość swojej pięty, lewą nogę musiał podkureczyć nieco.

— Sa tu—sa! — wołał do podszczekującego Kundysa.

— Warrrr!...—odzywało się z pod płotu.

— Żle!—myślał w duchu Jakokowicz—przekłete psisko gotowe do jutra mnie tak przytrzymać.

Rzucił wzrokiem na drugą stronę parkanu.

O kroków kilkanaście bielała jakaś chata, obora być musiała blisko, bo ciepły zapach gnoju w powietrzu się rozchodził. Nie było więc innej rady, jak poszukać gościnności u właściciela sadyby. Już miał zamiar swój w czyn zamienić, i zsiąść z niewygodnego rumaka, gdy nagle, jakby ruch ten zauważono, coś się u płotu poruszyło i chrapnęło potężnie.

Jakokowicz skureczył drugą nogę i oczy wytrzeszczył. Z ziemi dźwignął się potwór jakiś... Kajcio drgnął, że o mało na dół nie zleciał.

Była to krowa.

Znalazł się między Scyllą i Charybdą.

Krowa miała przy sobie ciele srokate, stawała więc w obronie dziecięcia. Najeżyła się, opuściła głowę i nastawiła rogi, jak dwie kopije.

— Myniu! myniu!—zawołał Jakokowicz błagalnym głosem, zwracając się do krowy.

Ruch ten rozdrażnił psa, który szczeknął zajadle i znowu parę konwulsyjnych skoków uczynił.

— Sa tu! sa tu!... Rud'ka!... Burek!... prosił Jakokowicz.

Ale gdy do psa się zwrócił, krowa mająca ciele przy sobie, chrapnęła silniej i krótkim rogiem w piętę go macała.

— Myniu! myniu! — wyciągając rękę — odezwał się do nowego nieprzyjaciela, tymczasem

pierwszy irytował się coraz więcej, a widząc w końcu bezskuteczność swoich zabiegów, usiadł na tylnych łapach i niemilosiernie wyć zaczął.

Początek był dobry.

Tu i tam odezwały się głosy bratnie—i zaczęła się muzyka.

— Wyją jak na wilka!—jęknął Jakokowicz.

Wtem z drugiej strony parkanu, szeroki, rozdzierający, jakaś nagła czkawka urwany, zabrzmiał ryk krowy.

— Muuu-u!...

— Muuu-u! z sąsiedniej odezwało się obory jedne, drugie, trzecie krowisko i powietrze napełniło się ryczeniem bestyj. Psy wyły coraz żałośniej i liczniej, słysząc rozdzierające ryki krów—krowy ryczały zaniepokojone psim lamentem.

— Jezus Maryja! — one wyryczą i wywyją nieszczęście jakieś...

— Sa—tu... cicho!—na psa wołał.

— Myńka, to ja! — zwracał się do krowy, dla lepszego zrozumienia wymówił nawet swoje nazwisko, ale wyjaśnienia wszelkie nie odnosiły skutku żadnego. Pochylił się na lewo, pies warknął, na prawo się podał, a tu krowa łbem w parkan urznęła...

— Czort wie jaki koncept! — wrzasnął Jakokowicz... Myńka — zlitujże się!... maszże ty serce?... ale Myńka powtórzyła eksperyment.

Ostatni ten pomysł krowi Jakokowiczowi wydał się szatańskim pomysłem. Szturm do płotu mógł pociągnąć za sobą dotkliwie następstwa. Nie dość, że samo wstrząśnienie oddziaływało na niego w sposób arcy niemiły i zmuszało do zachowywania równowagi, do której dochodził po rozpaczliwych ruchach rąk i nóg, lecz stare parkanisko trzeszczało niemilosiernie i groziło zawaleniem się; a huk, spowodowany uderzeniem łba krowiego, mógłby wpaść do ucha właściciela sadyby, który, z natury rzeczy, wyszedłby na podwórze z widłami lub czemś gorszym jeszcze.

Na myśl tę zimne go poty oblały.

— Boże wszechmogący! — wyszeptał. Wiesz mi w takiej pozycji i nie grzmisz!

Obejrzał się uważnie...

Noc—spokój!... Księżyc łagodnym blaskiem oblewał małe domki przedmieścia, srebrzył fale, wijące się w pewnym oddaleniu rzeki, na ziemi kładł cienie drzew... Przed nim bielała droga, na której nie widział już Dosi z księdzem Aniołem. Sadłowski spać musi, Adela może oczekuje jego powrotu, Dosi ma również zadowolenia chwilę—a on?...
— Sa—tu! sa...

— Mynia! bójże się Boga!... — zawrzeszczał nagle, bo szturm był nie do zniesienia...

Wtem odezwał się kwintet kotów. Darły się gdzieś bestyje na dachach w upojeniu miłosnem, aż Jakokowiczowi zęby stuknęły. Na dobytek wszystkiego zaczęły nietoperze kołować w powietrzu... Fru! fru! cicho, lekko śmiały w okrąg.

— Brakuje tylko szczura—a po mnie!...

— Jest!...—ryknął nagle jakimś oślim głosem.

Do parkanu przypierał słomiany dach obory. Szczur się wysunął ze strychu i po płocie biegł wprost na Kajcia.

— Hu! hu!... — zawrzeszczał, młynkując rękami w powietrzu, a obcasami butów o parkan waląc. Szczur znikł, ale pies i krowa zdwoiły swoje nieczne usiłowania, a kociska miauczały, jakby kto je ze skóry darł. Melodyjny koncert trwał dalej.

Jakokowicz zatulił uszy, przylgnął do swej rumaka, w kłębek się zwinął, ale czuł, że

mu grzbiet zdrętwiał, „zakłękły nogi”. Naprawdę jednak chciał dogodniejszą przybrać pozycję. Zaledwie się ruszył, pies warczał, grożąc nieszczęśliwej pięcie, a krowa łbem rznęła w parkan. Chciał się choć odrobinę unieść, bo jakiś sęk mu zawadzał, ale mastka żywica przytrzymała go za ubranie.

— Przykleiłem się!...—jęknął—i płakać zaczął.

Doprowadzony do ostatniego kresu nieszczęścia, obejrzał się raz jeszcze, ale nigdzie żywej duszy nie dostrzegł. Kto wie, czyby nie wolał, żeby już wyszedł ten, tam z chaty, choćby z widłami w rękę, byleby raz się już to skończyło. Ale! pusto było dokoła. Tentam... z widłami, kamienny sen mieć musi, a przed nim zarysowuje się miła perspektywa, przesiedzenia na płocie do ranka.

Upływały też minuty za minutami okrutnie długie. Uspokoił się pies... krowy ryczeć przestały, a on na swoim rumaku, jak martwy siedział...

— Kuku—ri—kuu!...—odezwał się kogut z pobliskiego podwórza, ochryplym głosem odpowiedział sąsiad z drugiej sadyby.

Świt!

Pobielają niebo, od rzeki chłód powiał... Cienie się usunęły i znikły w rozsrebrzającym się powietrzu...

Jakokowicz posłyszał turkot w oddali... Nastawił uszy, wzrok wysłał na zwiady. Po chwili dojrzał znajomego sobie żydka, który siedząc na beczie, jechał do rzeki po wodę...

— Judka ratuj! — zawołał, wyciągając błagalnie dłonie.

— Prrr!...—krzyknął woziwoda.

Zatrzymał kulawego, o zapadłych bokach, i kłębach wystających ślepego konia... i cmokając, zbliżył się do płotu...

— Co to takiego? — spytał, podnosząc brwi ze zdziwienia.

— Ot, tak całuska noc!...—szepnął Kajcio.

— Nu?... na co jegomość takie jeżdżenie wymyśla?—zapytał Judka.

Jakokowicz nie mógł nic odpowiedzieć—rzucił się całym ciężarem na piersi potomka Abrahama.

— Aj waj!

— Trzymaj się! dwa głosy razem zabrzmiało. Pies warknął, wzbili się kurz...

Jakokowicz i Judka rozciągnęli się na ziemi.

V.

„Światła i cienie”.

Zniknięcie Dosi, kompromitujące jej poszukiwanie przez Adelę i Honoratę, wreszcie niezamaskowana rejterada i pogoń Jakokowicza, wszystko to razem wzięte, miałyoby dla zakutogrodzian pierwszorzędne znaczenie; w tej chwili jednak gromadka majówkowiczów tak była zajęta sobą, że ani dwuznaczne słowa dbających o moralność pań, ani wycofanie się z towarzystwa Jakokowicza, ani gwałtowne szczekanie psa, które nagle się odezwało, nie zwróciło niczyjej uwagi. Powoli jednak, dzięki staraniom Adeli i Honoraty, zaczęło się nieco w umysłach rozjaśniać. Przypominano to i owo, kombinowano; każde słowo rzucone na wiatr przez Dosię, nabierało obecnie powagę wyrafinowanej taktyki — spojrzenie, ruch, uśmiech były dopełnieniem wyrazów nacechowanych lekomyślnością i kokieteriją niedobrego gatunku.

(Dalszy ciąg nastąpi).